ŚWIAT KOBIECY



Nº 10 ROK 1927 CENA 2 zł

TREŚĆ NUMERU DZIESIĄTEGO:

WARUNKI PRENUMERATY Prenumerata wraz z przesyłką kosztuje w Administracji (Lwów, Chorążczyzna, 27) miesięcznie zł. 3·80, kwartalnie zł 10·50, półrocznie zł 18·—. Numer poszczególny 2 zł. Kwotę prosimy nadesłać wraz z zamówieniem blankietem PKO (Konto nr 140·810, Księgarnia Polska), przekazem pocztowym lub w liście (można w znaczkach). Można także prenumerować w księgarniach, biurach gazet i t. p. (cena przy odbieraniu poszczególnych zeszytów w księgarni i t. p. miesięcznie zł 3·60, kwartalnie zł 10·—) lub na poczcie (cena miesięcznie zł 3·66, kwartalnie zł 10·17).

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA | N—R 10 ROK VII | 15 MAJA 1927 ROKU

NA JAWIE

Odpowiedź na artykuł H. Filochowskiej: „Śniło mi się w noc Sylwestrową“, zamieszczony w numerze 5 „Świata Kobiecego“

FIOLETOWY, puszysty zmierzch przesączał się przez szyby mojego pokoju i powoli stawał się matowy.

W dogasających resztkach dziennego światła — czytałam numer piąty „Świata Kobiecego“.

Subtelny, precyzyjny feljeton H. Filochowskiej: „Śniło mi się w noc Sylwestrową“.

„Czy znasz, miła Czytelniczko, panią Ljanę?“

„bladą jak tuberoza, wytworną panią Lilę?“

„pięćdziesięcioośmioletnią właścicielkę siedmiopiętrowej kamienicy i przepysznej limuzyny (Mercedès 64 H. P.) panią Narcyzę, zaręczoną z dwudziestokilkoletnim Fokstrotowiczem?“

Takie pytania stawia w wytwornej formie rozgoryczona pani H. Filochowska.

W Sylwestrową noc śni się jej ruda pani Ljana, która sprzedała olśniewającą toaletę z lamy, znalazła się nagle w zimnym pokoiku chorej studentki, sprowadziła doktora, zakupiła lekarstwa — kryzys minął szczęśliwie.

Śni się jej również pani Lila, która zrzekła się „piżamy koloru parmeńskich fiołków, haftowanej złotem gwiazd“ i kupiła „pracującemu ciężko mężowi, poczciwemu, kaszlącemu Józiowi, ciepłą kamizelkę, kalosze a nawet trzy pary skarpetek“.

Wreszcie trzeci typ.

Pani Narcyza w noc Sylwestrową zmywa z twarzy pudry, emalje, karminy. Jako miła, melancholijna staruszka w czarnej sukni, oświadcza „napół obłąkanemu ze zgrozy Fokstrotowiczowi“, że cały swój majątek zapisała „na przytułek dla ubogich, bezdomnych staruszek“.

I ta część artykułu pani Filochowskiej jest piękna.

Ale miraże i sny nocy Sylwestrowej z brzaskiem dnia topnieją i gasną.

Nic z tego się nie sprawdza. Pani Filochowska jest pesymistką.

Odkładamy artykuł z żalem:

— Gdyby choć ta rudowłosa pani Ljana. Gdyby choć ona!

I zadajemy sobie pytanie — pytanie aktualne, zastraszające:

— Czyżby po wojnie nie było już wcale takich kobiet, o jakich marzy pani Filochowska „w noc Sylwestrową“?

— Czyżby typ kobiety tak zasadniczo się zmienił?

— Czyż sylwetka kobiety „ostrzyżonej niby pudel“, „wymaljowanej“ na wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby, o „przepastnym dekoltażu“, w „sukni-koszulince“ — sylwetka „triumfującej lwicy“ — była naprawdę dominująca w społeczeństwie?

Takby się zdawało, przeczytawszy artykuł pani Filochowskiej, — artykuł bardzo pożyteczny zresztą i głęboki. — I są chwile, w których rzeczywiście przyznalibyśmy Jej najzupełniejszą rację.

Bo oto ta — która w tej chwili przejechała pod mojemi oknami wspaniałą limuzyną (może nawet Mercedès 64 H. P.) — nie jestże opisywaną panią Narcyzą —

a ta — która przechodzi teraz drugą stroną ulicy w jedwabnych pończoszkach i subtelnych, popielatych pantofelkach — nie wygląda na panią Lilę, która właśnie zdąża do sklepu po fiołkową piżamę —

a te inne, które widziałam wczoraj na recitalu tanecznym — a kiedyś na wiosennej rewji mód — a jeszcze kiedyś na premjerze, na koncercie i na wystawie.

— — — — — — —

Ale mrok w moim pokoju — staje się coraz ciemniejszy — puszystą pilśnią osiada na meblach.

I może właśnie dlatego, że nie jest hulaszcza noc Sylwestrowa, — ale *rzeczywisty marcowy dzień* — inne sylwetki kobiet przesuwają się mi przed oczyma.

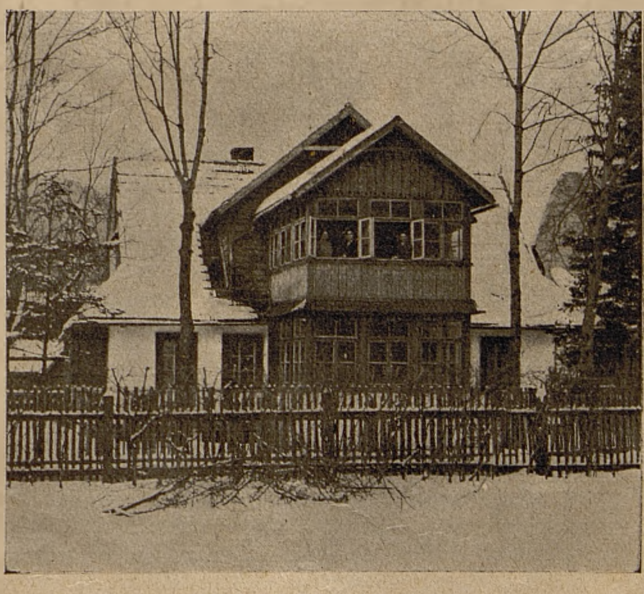
Marzec jest niebezpiecznym miesiącem dla suchotników. Kaszlą wtedy bardziej. Blade usta uśmiechają się do bladego słońca. Między godziną czwartą a piątą po południu ich drżące ręce podnoszą termometry a przerażone oczy — jak zbłąkane ptaki — śledzą pilnie słupek rtęci, czarne cyfry i czarne kreski.

Marzą o gorącem słońcu. Swoją nadmiernie wyostrzoną intuicją — przeczuwają wszystko — ale nie wierzą.

I nagle nieśmiało — z dobrym uśmiechem na ustach — gdzieś w tłumie, skryte za dekoltowanemi plecami pań Ljan, Lil i Narcyz — inne kobiety.

Pani Klara Jelska, Pani Marja Kasprowiczowa, Pani Alicja Mińska.

Te trzy.



Siedziba malarska w Zakopanem

I powiem o nich tak, jak się mi przesunęły przed oczyma. Króciutko.

Bo wiem, że *One* nie lubią, gdy się o nich długo pisze, gdy się o *Nich* wogóle pisze.

(Natomiast wiem, że pani Ljana, pani Lila, pani Narcyza są szczęśliwe, gdy czytają o sobie feljetony i recenzje.)

A teraz zapytam się Ciebie, miła Czytelniczko, słowami Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego z artykułu „Pani Róża Bailly — szlachetna przyjaciółka Polski" — („wyznaj ze wstydem, że zgoła nie wiesz, co to za pani Róża Bailly") —

Czy wiesz — kto jest p. Klara Jelska? p. Marja Kasprowiczowa? p. Alicja Mińska?

— — — — — — — — — — — — —

Z tych trzech nazwisk zapewne znasz najlepiej Marję Kasprowiczową — ale wiesz o niej tylko tyle, że była żoną poety, którego „Księgę Ubogich" czytałaś w chwilach największego życiowego znużenia i krzepiłaś się nią jak kubkiem źródlanej, przeczystej, górskiej wody. A nie wiesz nic o tem, że ta cicha, anielska kobieta marzy, aby ze swojej ukochanej Harendy w Zakopanem stworzyć „Dom wypoczynkowy dla chorych literatów" i aby w tym domu pracować aż po ostatni oddech.

— — — — — — — — — — — — —

A oto zjawia się przed nami druga — pani Klara Jelska, która poświęciła cały swój majątek, wybudowała w Zakopanem „Słoneczną" i „Lithuanję" i każdą godzinę dnia oddała — swoim młodym chorym.

Biorę do ręki książkę Makuszyńskiego p. t. „Listy z Zakopanego" i czytam Jego „postscriptum" do któregoś z nich:

„Klara Jelska. Którędy przejdzie, tam się za nią zwracają młode oczy, jak za najdroższą matką, a ona leczy nietylko słowem i powietrzem gór, lecz słońcem swojej niezmiernej dobroci, miłującem spojrzeniem, słodyczą słowa. W białem ubraniu szarytki, wydobywa z ukrycia serca, jak łakocie dla chorych dzieci, to słowo miękkie i słodkie, to uśmiech dobrotliwy, to pieszczotę — — — przysięgła sobie bowiem, że wyrwie swemi biednemi rękoma złej gruźlicy studenta, czy zabiedzoną w biurze panienkę".

— — — — — — — — — — — — —

Jeżeli kiedy będziesz w Zakopanem, idź na wąziutką ulicę Kościelną.

Zobaczysz tam willę niedużą: „Siedzibę malarską" fundacji p. Alicji Mińskiej.

Uśmiecha się do słońca kilkoma oknami. Nikt prawie nie wie o niej, że istnieje. Nikt o niej nie pisze.

A przecież kilku malarzy, uczniów Akademji lub ukończonych, znachodzi tu rzetelny odpoczynek, troskliwą opiekę i idealne warunki do pracy. Pani Mińska pomyślała bowiem nietylko o pomieszczeniu i doskonałem utrzymaniu, ale nawet o tak drobnej rzeczy, jak opłata modelów.

Żelazny kapitał, złożony przez panią Mińską, zapewnia tej wyjątkowej instytucji trwałą przyszłość.

W ostatnim roku korzystało z „Siedziby malarskiej" 24 malarzy.

— — — — — — — — — — — — —

One są.

Tylko nie znamy ich, nie spotykamy, bo nie jeżdżą lśniącemi limuzynami, nie tańczą charlestona w dancingach i nie noszą sukien z kolorowej lamy...

Widujemy je tak rzadko!

Zajęte są bowiem czem innem.

Nie znacie ich nazwisk — jak ja doniedawna nie znałam — (przyznaję to ze wstydem) — nazwiska „Pani Róży Bailly — szlachetnej przyjaciółki Polski."

Bo jakoś dziwnie — w tłumie giną.

Ale *One są.*

Kazimiera Alberti

CZY ROZWODY SĄ POTRZEBNE?

SPRAWA niezmiernie ważna i na czasie. I niezmiernie u nas trudno nietylko ją rozstrzygnąć, ale nawet poruszyć rozsądnie.

Ważna, bo obchodzi nie jednostki i nie setki obywateli, ale miljony jednej i drugiej płci; nikt nie może głowy dać za to, czy jego córka nie pójdzie fatalnie zamąż, albo, czy mu się syn nie ożeni tak, że się z tego nie wygrzebie do późnej starości. Sprawa ważna, bo dotyczy nie drobiazgu, tylko szczęścia lub nieszczęścia całego życia, dotyczy wartości, którą człowiek przeważnie stawia ponad życie i ponad śmierć. Przecież nie samo życie ludzie cenią, tylko względnie szczęśliwe życie i wolą, naogół, ginąć, niż żyć w nieszczęściu.

Sprawa na czasie, bo wkońcu i Polska — jedyny kraj w Europie, w którego częściach panują na tym punkcie jeszcze średniowieczne ustawy — doczeka się może w najbliższej przyszłości reform w tym zakresie nowoczesnych, w duchu europejskim.

A sprawa trudna nietylko dlatego, że samo zagadnienie jest złożone, choć nie brak w innych państwach i w kraju wzorów, które się okazały w praktyce pożyteczne; trudna, bo zaczepia i o przekonania nawykowe, i o kieszeń, i o wpływy niebylejakie. Trudna do poruszania i spokojnego roztrząsania przedewszystkiem dlatego, że stanowi pewien punkt programu polityków lewicowych i prawicowych, a punkty programów politycznych nie nadają się do rozumnej dyskusji. Jedni je stawiają i podają drugim do wierzenia — drudzy w nie wierzą; jedni i drudzy patrzą, jak na wrogów, na tych, którzy są przeciwnego zdania — niemniej na tych, którzy się ośmielają głośno myśleć nad tem, co powinno być artykułem ślepej wiary stronnictwa. Podsuwa się więc ludziom zdania przeciwnego niecne zamiary, z poważnej dyskusji robi się łatwo kłótnia przed tłumem, obliczona mimowiednie na to, żeby przeciwników razem z ich tezą poniżyć i na czarno umalować, a zwolenników, już zgóry utwierdzonych w pewnem stanowisku, zagrzać i tem dokładniej zaślepić. W sprawach objętych programami stronnictw politycznych bodaj że szkoda każdego rozumnego słowa. Najrozumniejsze nie przekonywa, tylko doprowadza do wściekłości przeciwników — najgłupsze wystarcza i wywołuje zachwyt u zwolenników.

Szczęście, że nie wszystkim gazeta zastępuje zdrowy rozsądek i własne zdanie. Z tymi warto pomówić, chociaż łamy „Świata Kobiecego" nie są terenem najwłaściwszym do rozwijania sztandarów, ani do roztrząsania programów społecznych.

Chodzi o to, co robić z małżeństwami nieszczęśliwemi. Co robić, jeżeli się przez pomyłkę fatalną pobiorą ludzie niedobrani?

„Niema ludzi niedobranych", powiadają na to niektórzy; każdy człowiek jest do każdego dobrany, skoro się raz pobrali, a gdyby nawet nie, to nie obchodzi ta sprawa nikogo, tylko dwoje dotyczących. Mogą sobie mieszkać osobno i nie mieć dzieci. Sprawa załatwiona i szkoda czasu, żeby o niej myśleć. Gorsze to, że niejeden kawaler nie ma mieszkania.

Tymczasem nauka stwierdza, że są pewne pary, które, obcując z sobą, stale wydają na świat idjotów i kaleki, podczas gdy każde z tej pary zosobna daje z innym człowiekiem życie zupełnie zdrowemu, normalnemu potomstwu. Zatem są pary niedobrane przyrodniczo; takie, które, niejako, Bóg rozłączył a człowiek je przez pomyłkę niekiedy wiąże. A przecież

każdyby rad zostawiał po sobie potomstwo zdrowe, na jakie go stać, i państwo robi dobrze, jeśli to obywatelowi umożliwia. Po za tem, łatwo i bez nauki dojść, że np. syfilityk, pijak i złodziej z jednej strony a uczciwa kobieta z drugiej — to para niedobrana.

Z drugiej strony codzienna obserwacja poucza, ile to ludzi ginie marnie przed czasem, albo kona powoli w męce gorszej niż śmierć, albo wegetuje w nienawiści tylko dlatego, że zamłodu czy na starość wpadli w niedobrany związek. Są usposobienia, które wiązać z sobą i uzależniać od siebie byłoby czemś nieludzkiem, podczas gdy ci sami ludzie w innych związkach znajdują szczęście i dają szczęście; pracują z pożytkiem, zamiast, żeby się marnowali. Zatem są pary niedobrane psychicznie, których pożycie z konieczności gorsze jest od piekła. To rzecz znana, nawet wróblom na dachu. Niezaprzeczona.

Takie związki są nieszczęściem nietylko dla samych związanych — są nieszczęściem dla ewentualnych dzieci, które muszą rosnąć w atmosferze obojętności lub nienawiści i patrzeć na to, jak fatalnie z sobą żyją nieszczęśliwi rodzice. Są też nieszczęściem społecznem skutkiem dotychczasowych ustaw. Dlatego, że dotychczasowa ustawa wskazuje wielu ludziom, którzy raz wpadli w straszną pułapkę złego, nieszczęśliwego związku małżeńskiego, jako jedyne wyjście: śmierć drugiej strony lub własną. Pokazywać ludziom niedobranym śmierć cudzą lub własną jako jedyne wyjście z sytuacji gorszej od piekła, to znaczy pogrążać mocniejszych w rozpaczy, a słabszych kusić do zbrodni morderstwa. To niemoralne, a że to kuszenie skutkuje, o tem codzień donoszą gazety. Te zbrodnie są na porządku dziennym w tych środowiskach, które nie posiadają instytucji rozwodu. Część winy ponoszą za nie ustawodawcy — tylko żadne prawo pisane nie pociąga ich do odpowiedzialności. Klęska społeczna zostaje klęską. Zbrodnia kuszenia do mordu zostaje zbrodnią.

Tem cięższą, że każdy człowiek jest i zostanie omylny. „Błądzić — to rzecz ludzka, powiada łacińskie przysłowie; trwać w błędzie poznanym: djabelska“. Każdy może wpaść w fatalnie niedobrany związek. Czy powinien w nim trwać, mimo wszystko?

— „Tak, powiadają niektórzy. Dla utrzymania związku rodzinnego, który jest podstawą więzi społecznej“. Ależ społeczeństwo nie stoi na złych rodzinach, które nienawiść dzieli a prawo skuwa, tylko na rodzinach dobrych, bo szczęśliwych, które prawo uznaje i ochrania. U podstaw porządku społecznego nie leżą związki złe, przeciwne naturze, w których się ludzie sami trują i męczą i w których się paczą dusze dzieci, tylko związki dobre, naturalne, niepapierowe, w których ludzie sami są szczęśliwi i mogą stwarzać atmosferę miłości dzieciom. Komu więc zależy na porządku społecznym, ten nie powinien ustalać i umocowywać formułami prawa związków złych, nieszczęsnych, pozornych, tylko powinien rozumnie i poczciwie dopuszczać ich prawne rozwiązywanie, a tem samem umożliwiać nieszczęśliwym ludziom poprawę: zakładanie związków dobrych, naturalnych, szczęśliwych i przez to trwałych. Zatem rozwody wydają się potrzebne i dobre. Mimo, że jednych o tem przekonywać nie potrzeba, drugich o tem przekonać niepodobna. A rozstrzygać będzie nie: rozum przekonanych, tylko ilość zasugerowanych. Trudno. Demokracja.

Władysław Witwicki

ROZMOWA O SROGOŚCI MODY

— Więc niech mi pan powie szczerze i bez obłudy...

Obiecałem pochylonej nad żurnalami pani odpowiedzieć szczerze i bez obłudy.

— A ja wzamian obiecuję zgóry rozgrzeszenie. Wiem bowiem, że człowiek taki jak pan, t. j. obcujący często z papierowemi kobietami, które przez całe stulecia przemyśliwały tylko nad tem, jakby najlepiej zniekształcić i wykarykaturzyć swoją figurę, człowiek taki, powiadam, nie może mieć przecież uznania dla dzisiejszej wolnej i pozbawionej przesądów mody.

Próbowałem coś jakby zaprzeczyć.

— Szkoda tłumaczeń! Już tam te prababki przerobiły pana na swoje kopyto!

— Ależ ja...

— Co pan?... Wymyśli nową impertynencję i tyle.

— Proszę jednak pozwolić przyjść mi do słowa. Uważam, że zasady obecnej mody są wzniosłe i podpisuję oburącz peany, jakie prawią na jej cześć higjeniści. Natomiast...

— A nie mówiłam! Już jest jakieś „ale“.

— ...natomiast przygnębia mię niezgodność teorji z praktyką. Pierwsza jest z reguły urocza, druga, jakże często, okropna.

— Nie rozumiem.

— Chodzi mi o to, dlaczego te śliczne i olśniewające sukienki z dziennika mód, gdy wyjdą na ulicę, tracą, o dziwo, tak często swój urok i fatalnie brzydną?

— Widocznie pan źle trafił. Rzecz gustu.

— Ja sądzę natomiast, droga pani, że to sprawa poważniejsza. Przeżywamy moment, jaki nieczęsto trafiał się w historji mody kobiecej. Zna ona przecież i zapisywała nieraz przeróżne dziwactwa. Mój Boże! Czegoż to nie bywało w dziejach toalety kobiecej od Karola Wielkiego do Napoleona, od średniowiecznego Bizancjum do rewolucyjnego Paryża! Falami płynęły i przemijały najdziwaczniejsze upodobania. Raz się kobiety rozpowijały aż do obrzydzenia, kiedyindziej zawijały się do niemożliwości. Raz...

— Ciekawam bardzo, do czego to zmierza?

— Cierpliwości, zaraz skończę. Chodzi mi o to, że każdą głupią, czy mądrą modą władał zawsze jawny lub ukryty imperatyw podobania się. Kobieta chciała uwydatnić swoje piękno, ukryć brzydotę, zwrócić uwagę na istotny urok!

— A dziś to niby nie chce?

— Czy ja wiem? Dziś dzieją się czasem rzeczy dziwne, niepojęte. Przeżywamy jakiś moment apokaliptyczny. Niech pani spojrzy przez okno. Co piąta z napotkanych pań jest odkobiecona. Ani myśli o tem, żeby się podobać. Wprost przeciwnie! Ujawnia przekornie wszystkie słabe strony swej budowy, jakby się chciała gwałtem pochwalić tem, czem ją Pan Bóg obdarzył najbrzydszem. Czy nie tak?

— Nawet nie odpowiadam, bo wiem, że pan sam w to nie wierzy!

— Lecz proszę spojrzeć przez okno. Oto panienka z odkrytemi udami. A wie pani dlaczego, bo ma potwornie brzydkie kolana. Albo ta ugarsoniona starsza pani, która także nie chce uszanować swej starości i wyznaje gorliwie zasadę karciarską: Nóżki na stół! Dlaczego?

— Niechże pan te damy spyta o to, nie mnie!

— A w karnawale pamięta pani? Owe setki fotografij w dodatkach ilustrowanych, a na pierwszym planie każdej zbiorowisko kolan i łydek. Z pięknością ich rzecz się miała tak, jak z wygranemi na loterji państwowej. Co drugie wygrywały. A tamte pierwsze przegrane można było wysłać albo na wystawę tłuszczu w Wembley, albo zilustrować niemi scenę głodu w Indjach.

— Zaczyna pan być jednak niemożliwy.

— A cóż ja temu jestem winien? Patrzę na to, co mi pokazują. Malarz, wystawiający obraz, godzi się tem samem na jego publiczną krytykę.

— Jednem słowem, chodzi panu poprostu o te dziesięć centymetrów materji, potrzebnych do zakrycia kolan. I o to tyle krzyku?!

— Nie, droga pani. Nie chodzi o te dziesięć centymetrów.

One sprawy nie rozstrzygną. Idzie o coś ważniejszego i trudniejszego: o brak poczucia rzeczywistości u wielu pań dzisiejszych. Nietylko o to, żeby mierzyły długość sukienki wedle brzydoty kolan, lecz żeby wogóle groblę wedle stawu sypały. Cudze ganicie, swego nie znacie... Poprostu zdaje mi się...

— Prędzej niech się panu zdaje, bo moja cierpliwość się kończy!!

— Otóż zdaje mi się, że dla niektórych pań nowoczesnych poziom mody dzisiejszej i wolności, jakie ona z sobą niesie, jest zbyt niebezpieczny. Nie umieją jakoś korzystać z jej pięknych możliwości; mają raz za mało, to znowu za wiele, bardzo za wiele odwagi. Cóż z tego np., że tyle przepysznych odcieni, tyle śmiałych i efektownych połączeń barwnych podaje moda dzisiejsza, kiedy to potem spartaczy się nagle i przemieni w krzykliwą orgję najniemożliwszych kolorów, tak że się w grobie przewraca ten pierwotny człowiek średniowieczny, który zszywał wszystkie fatałaszki mechanicznie z oszczędności i z naiwności. Cóż z tego, że od tak pięknych projektów i kompozycyj roją się żurnale i tyle ich przynosi „Świat Kobiecy“, kiedy nierzadko wyjdzie z tego na ulicę karykatura? Oka, gustu, poczucia linji nie można się nauczyć choćby z najlepszego arkusza krojów, ani u najmędrszej krawcowej. Trzeba go albo w sobie mieć, albo umieć w sobie wypracować.

Mówiłem to wszystko już do obrazu, bo słuchająca mnie dotąd pani ulotniła się. Widocznie oburzona, bez pożegnania i bez obiecywanego rozgrzeszenia. Zostałem sam i myślałem długo nad tem, czy to istotnie prawda, że kobiety zmieniły się tak dalece, że już nawet nie chcą się podobać. To naturalnie nieprawda! Mówiłem tak tylko na złość tamtej pani. Kobieta nie odkobieciła się bynajmniej, nie chce natomiast uznawać czasami innej rzeczy: oto bezwzględności mody dzisiejszej, która dąży do ukazania prawdy i która jest w tej mierze tak nielitościwa i nietolerancka, jak nigdy żadna inna dotąd. Moda średniowieczna gotycka wyróżniała kobiety smukłe; moda renesansu, uwielbiającego kształty obfite i bujne, protegowała tuszę kobiecą; barok i rokoko kryły obłudnie rozmaite brzydactwa. Dawniej można było to i owo przemycić, tu i owdzie oszukać. Dziś nie! Moda dzisiejsza jest drakońską weredyczką. Nazywa rzeczy po imieniu. Klocek jest klockiem. Łupi prawdę bez ogródek. Fortepian jest fortepianem. I wydaje wyroki bez apelacji. Od tamtych dawniejszych pragnie być i lepszą i szczerszą. Może zaś stać się łatwo piękniejszą, bo ma wszelkie dane potemu. Niechże panie jednak nie płoszą jej piękna i nie gniotą go kolanem. Wołają o to pogwałcone zasady estetyki, jeśli już nie — zasady moralności!

Stanisław Wasylewski

BEPPO

1.

Rzecz to powszechnie wiadoma, że wszędzie,
gdzie katolickie panuje wyznanie,
nim Tłusty Wtorek z tronu swego zsiędzie,
a po nim smętny Popielec nastanie
i pobożności trza się oddać będzie, —
każdy używa, że ha! Więc, mospanie:
karcięta, maski, apetyty wilcze
i inne rzeczy, które tu przemilczę.

2.

Chwila, gdy ziemię noc osnuje ciemna
(im zaś ciemniejsza, tem lepiej), jest porą,
która się mężom zdaje mniej przyjemna,
niż gaszkom. Wtedy bowiem djabli biorą
resztę skrupułów; obłuda przyziemna
staje się nagle wesołością skorą;
zewsząd brzmią pieśni, ryki, piski, śmiechy
i wszelkie inne rodzaje uciechy.

3.

Wszystkie tam suknie, wszystkie są tam kroje
i wszystkie czasy i wszystkie narody,
klowni, pajace, murzyni, cowboye,
Grecy, Rzymianie, Żydy i Herody.
Oprócz sutanny spotkach wszystkie stroje,
oprócz duchownej, spotkach wszystkie mody:
bo księży nikt tam nie przedrzeźnia śmiele...
przestroga dla was, wolnomyśliciele!

4.

Raczej pokrzywą przepasz się i głogiem,
raczej miast spodni miej na sobie ciernie,
niżbyś choć jednym szwem albo wyłogiem
miał naśladować kleru schludne czernie:
bo na zarzewiu rozciągną cię srogiem,
we Flegetonie przepadniesz mizernie,
ognia zaś niczyj nie ostudzi pacierz —
chyba, że mnichom podwójnie zapłacisz.

5.

Ale z tym jednym wyjątkiem, nie skłamię,
mówiąc, żeć wolno wdziać na grzbiet i lice
wszystko, czem u nas przy Żelaznej Bramie
kupczą w straganach stare Żydowice.
A nawet Włochy mają takie same,
choć znacznie ładniej nazwane dzielnice:
gdyż w naszym kraju przecie próżna praca
szukać tak ślicznej nazwy jak „Piazza“. —

6.

To się nazywa Karnawał (w przekładzie:
„żegnaj nam, mięso!“ znaczy to jakgdyby),
a tak ochrzczone jest na tej zasadzie,
że tu Post cały jedzą same ryby.
Lecz czemu witać Post na maskaradzie
i tak radośnie? Nie wiem... Jest to niby
nasze *strzemienne* na ścieżki zakręcie,
albo na progu, albo przy okręcie.

7.

Tak pożegnawszy hucznie i odświętnie
mięsne potrawy swoje, pieprzne bardzo,
przez dni czterdzieści jedzą rybę — wstrętnie
przytem podaną, gdyż sosami gardzą.
Więc serca wielu podróżnych namiętnie
przeciw Italji w tych dniach się zatwardzą,
od dziecka bowiem zwykli jeść łososie
w najgorszym razie w kaparkowym sosie.

8.

Przeto, smakoszu (jeśli mię usłuchasz,
będziesz mi wdzięczny), pójdź za mądrą radą:
każ przed podróżą, niech twa żona, kucharz
albo przyjaciel do miasta pojadą
i obstalują *en gros* (wszak nie sucha-ż
jest twoja kabza?) przed sklepową ladą
pakę z Harveyem, oliwą, Ketchupem:
inaczej łacno padniesz w poście trupem —

9.

o ileś, juści, rzymskim katolikiem [być wroną,
lub, w myśl przysłowia, wśród wron chcesz
aczkolwiek nikt ci nie grozi tu strykiem,
gdybyś nie pościł. Jeśli cię zrodzono
kobietą, chuchrem, albo heretykiem
i wolisz, grzesząc, zjeść kurę pieczoną —
to jedz i pal cię czart! Nie chcę być gburem,
lecz taka właśnie kara jest za kurę.

10.

Chcecie-li wiedzieć, gdzie ongi Karnawał
grzmiał najhuczniejszą zabawą maskową?
gdzie taniec, balet i śpiew nie ustawał
i szept, i miłość, i tamto, i owo,
że i wysłowić trudnoby ten nawał?
Wenecja była wszystkich miast królową —
w samej zaś chwili wszczęcia tej historji
ów gród na-morski był w całej swej glorji.

11.

Łuk brwi, czerń oczu, wdzięk zalotnych minek...
Tak, wenecjanki są i dzisiaj ładne, [czynek,
jak dawnych mistrzów kopje wprost z Grenie zaś jak kicze spółczesnych szkaradne.
Gdy ujrzysz którą z tych pań lub dziewczynek
gdzieś na balkonie — masz złudzenie snadne,
że jedną z Wener Tycjana jest ona,
albo że wyszła z obrazu Giorgiona,

12.

którego barwy są pięknem wcielonem.
I, na mój rozum, w Manfrinich pałacu
żaden pomiędzy arcydzieł miljonem
temu jednemu nie dotrzyma placu.
I tyś zapewne stał przed płótnem onem?
Juści, są istne cuda w tem *Palazzu* —
portrety synów, żon, autoportrety:
ale poszukać gdzie takiej kobiety!

13

Toż miłość sama! można się nią upić!
Nie idealne to, lecz takie żywe,
żeś gotów chyba stare groby złupić,
by rysy Wzoru odnaleźć prawdziwe.
Chciałbyś wyprosić to, ukraść czy kupić —
lecz i nieładnie to, i niemożliwe.
Jakieś wspomnienia powstają najłzawsze...
twarz niegdyś znana, stracona na zawsze...

14.

Jeden z tych kształtów, których cień nas mija
pókiśmy młodzi i tak żądni świata,
a których krasę i powab odbija,
kiedy przeminą długie, długie lata,
wzrok bezimienny jakiś, twarz niczyja,
co — dostrzeżona ledwie — już ulata
niewiedzieć dokąd ni kiedy — jak sławna
siódma Plejada zaginiona zdawna. [1])

15.

Rzekłem, że nito Giorgiona obrazy
są wenecjanki, i tak jest w istocie,
zwłaszcza gdy w oknach śnią (gdyż, bez urazy,
lepiej się zdala przyglądać cudnocie)
i z za firanki, skroś szybek topazy
słodko-zalotne spojrzenia ślą do cię.
Poprawdzie, większość ich jest wcale, wcale —
no i, co gorsza, wiedzą to wspaniale! (C. d. n.)

Jerzy Gordon lord Byron

Z angielskiego przełożył *Czesław Jastrzębiec-Kozłowski*

[1]) Quae septem dici, sex tamen esse solent. — OVID.

KRÓLESTWO WRÓŻKI ESTERELI

IV

Listy z Prowancji

Z GÓRAMI Maurów i Estereli łączą się opowieści o korsarzach śródziemnomorskich. Dzieje awanturnicze przyszłego marszałka Francji, admirała de Tourville, który młodość na korsarskim statku kawalera d'Hocquincourt spędził. Nietylko chęć zysku, ale i miraż przygód niezwykłych, dalekiego wschodu, nieograniczonej władzy, pragnienie sławy, a zwłaszcza szał wolności, bunt przeciw więzom ustalonego prawa rzucał wiecznych buntowników na lazur fal.

Po skałach nadbrzeżnych błąka się wspomnienie zbójników w stylu Janosika. Na Mont Vinaigre koło Cannes ukrywa się Gaspard de Besso, później w Aix ścięty, a gospoda w Adretach łączy się z postacią Roberta Macaire, obecnie bohatera wielkiego filmu francuskiego. Ten szalony zbójnik nie cofał się przed żadnym zamachem, ale życie jego opromienia miłość do alpejskiej kasztelanki, a gdy spotyka córkę swą po latach i uświadamia sobie, że mimowoli jej nieszczęść jest sprawcą, nie waha się wrócić wtył przez życie i krok za krokiem odrabiać bezimiennie zło i krzywdy uczynione niegdyś, a potem, niepoznany, zniknąć, by zacząć na wygnaniu dobrowolnem życie nowe.

Mistral wyśpiewał w „Pieśni Rodanu" dzieje orańskiego księcia i umiłowanej przezeń dziewczyny z Tarasconu, opętanych przez miraż Rodanu i w jego nurtach znachodzących sen wieczny.

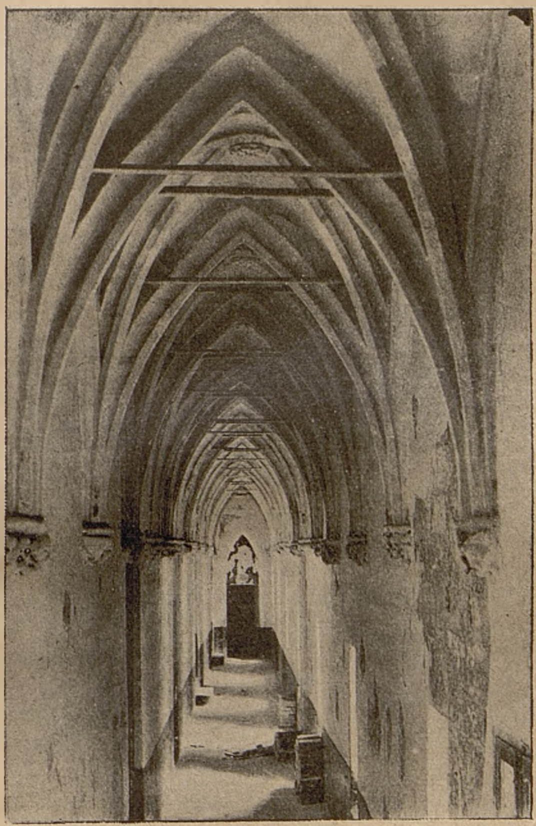
W szkołach i garnizonach prowanckich w Aix, Tulonie, Antibes, Fréjus, Grasse i Vence kształtowała się wyobraźnia Bonapartego. Ta ogólna atmosfera porywów i buntów przeciw codzienności, chęć przełamania normalnych trybów, wyolbrzymienia świata, spełnienia niezwykłych przeznaczeń dojrzały w Napoleonie w powołanie, które go aż pod mury Moskwy zawiodło.

Wiek XIX widział, jak z kultu Estereli-Prowancji wywiódł się ruch felibrów i zaczęła się nowa poetycka służba.

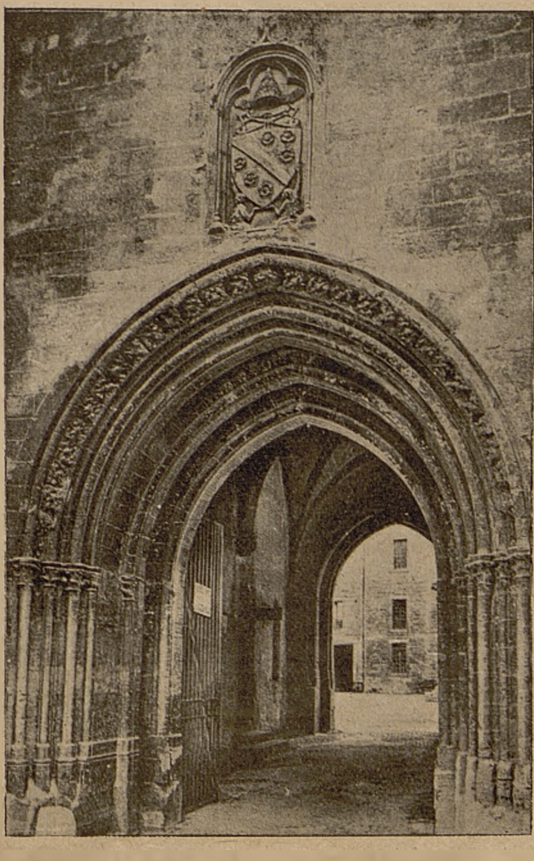
Znalezienie w grobowcach Baux złocistych włosów, słynnej *cabeladuro doro*, uważany jest przez poetów za cudowny znak obecności Estereli, za znak pasowania ich na jej błędnych rycerzy. Ta *cabeladuro doro* staje się „wieczną radością, najpiękniejszą ze wszystkich piękności".

Zaczyna się nowa symboliczna pielgrzymka.

Na chwałę Estereli śpiewać będzie felibr woźnica Laforet, wożąc gości po drogach Arles, Nimes i Tarasconu; ją ujrzy w ogniu kuźni poeta-kowal Chauvier lub poeta-węglarz Lescure. Ona



Krużganek Conclave w Awinjonie



Brama pałacu papieskiego w Awinjonie

z mroków Irlandji wywoła, napoleońskiego po matce wnuka, chmurnego Williama Bonaparte Wyse, który spleen swój nieuleczalny obniósłszy po całej Europie, jak Anacharsis, Rodanem w dół ku Awinjonowi przybywa, by w nagłem objawieniu ujrzeć swe powołanie, przyjąć obcy język za swój, nato, by stać się poetą Estereli, goniąc wszędzie „Błękitne motyle" „śladami księżniczki", i w cały ruch poetycko-narodowy tchnąć mistycznego ducha wewnętrznego jakby objawienia.

Oto już nie w c z o r a j a d z i ś: z pałaców awinjońskich ucieka poeta Fulco Baroncelli Javon, by wśród stepów Kamargi wieść, jak Herakles, życie prostego pasterza byków, „królem Guardianów", pasterzy Kamargi, wybrany. Rzuca świetność, przepych, uwielbienie otoczenia hr. José D'Arbaud, bożyszcze miasta Aix, by zamknąć się w małej zagrodzie chłopskiej wśród słonych bezmiarów. Dla Kamargi wyrzeka się świata malarz rosyjski Iwan Praśnikow. Nad słonemi łachami błąka się cień wodza indyjskiego, który z niewolnej Ameryki skrył się na tę ostatnią wolności wysepkę.

Naprzeciw Awinjonu, na drugim brzegu Rodanu, leży umarłe dziś miasto Villeneuve-lès-Avignon. Nad miastem góruje posępna, olbrzymia, przygniatająca twierdza, wdzierając się basztami i wsporami mieczowemi w ciasne uliczki. Dziś zakupiły ją dwie cudzoziemki i mieszkają w gigantycznem okolu murów samotne, tajemnicze; nie dozwalając wstępu na stoki warowni i wykupując coraz to nowe pałace w sąsiedztwie, czynią coraz większą pustkę wkoło siebie. Ludowi prowansalskiemu dość tego, aby snuł legendy, nie jest jednak przychylny tym otaczającym się murem tajemnicy i ciszy samotniczkom, jest przekonany, że złe siły z niemi zamieszkały zamek, i snuje wizje ponure, jak sen narkotyków, których, wedle opowieści powszechnej, królestwem stała się twierdza.

Każdego, kto awinjoński zamek zwiedza, uderzyć musi postać odźwiernego starca, oprowadzającego turystów, p. G. Vassel. Gdy snuje się po krużgankach, lub potęgą swego niezrównanego głosu wskrzesza hymny stare w kaplicy papieskiej, lub wolnościowe pieśni młodej Prowancji, śni na jawie i współczesny się czuje nie nam, ale tej przeszłości, której delegatem na dzień dzisiejszy się mianował. A z ministerstwem tem łączy i drugie: jest on żonglerem Mistrala. Jak dawniej żonglerzy pieśni trubadurów przez kraj nieśli, tak on roznosi czar mistralowskiego słowa po grodach Południa.

Anna Ludwika Czerny

RÓŻA I ĆMA

Ballada księżycowa

— Więc dlaczego? Powiedz, pani, dlaczego?

Westchnęła cicho i jej cieniste rzęsy żałobą niewysłowionego smutku opadły na oczy.

— Ze strachu przed życiem. Zaledwie zamknęła się za mną brama klasztoru, ktoś bardzo zły, z sercem kamiennem, z sercem na popiół wystygłem powiedział mi, że zginę, że życie mnie złamie i zmiażdży. Że mnie — bezbronną — rozszarpie stado hien i szakali... Bałam się. Miałam lat tylko — siedemnaście. I ten ktoś, uszczęśliwiony mem przerażeniem, popchnął mnie tu, gdzie dziś jestem.

Słuchał z zapartym oddechem, z oczami wbitemi w żałośnie uśmiechnięte usta Teresy. Czyhał, jak szpieg, na kłamstwo.

— Ach tak... Więc to tak... A ja dręczyłem się potępieńczo...

W uśmiechu pełnym szczęścia błysnęły na chwilę zęby bardzo białe i bardzo piękne, oprawne w miękką linję młodzieńczych świeżych warg. Oddychał ciężko z ulgą, jak człowiek, któremu nagle zdjęto z obolałych bark nadmierny, długo noszony ciężar. Oparty o przeciwległy filar werandy patrzył z pod powiek nienasycenie na marzenie swoich bezsennych, szalonych nocy, wcielone w czarowny kształt Teresy.

Nie odwracała oczu. Z gwałtownie bijącem sercem myślała, że śni jej się ta noc tak cicha i gwiaździsta, ta młodzieńcza czarnowłosa głowa, te brwi na białem czole, czarnym, namiętnym łukiem groźnie rozpięte, i usta świeże, jak kwiat, równie bliskie, jak ta róża samotna, na krzaku rozkwitła.

Zadrżała, gdy bliskie usta cicho, jak przez sen zapytały:

— Czy zna pani Ghitaniali?

Skinęła twierdząco głową.

— „*Czy nie doszły cię wieści, że przepych kwiatu króluje wśród czerni?*“ — pytał szeptem, przesyconym namiętną tęsknotą i czułością. — „*Obudź się... Oh, zbudź się, nie pozwól, by czas mijał napróżno*“...

Zamknęła oczy i jej upojona głowa wsparła się bezsilnie o filar opleciony bluszczem.

— Och, zbudź się — powtórzyły błagalnie usta mężczyzny. Bezwiednie jak ślepiec wyciągnęła w ciemność obie ręce, gestem jednocześnie obronnym i szukającym jakiejś Prawdy odwiecznej i cudownie pięknej, jakiejś Tajemnicy najważniejszej i jedynej. I gdy ręce jej znalazły się w stalowym oplocie męskich dłoni, zapytała jak przez sen z surowo i boleśnie ściągniętemi brwiami:

— Więc to ty? To ty jesteś — Miłość?

— Tak, to ja. To ja jestem — Miłość. Odejdziemy stąd o brzasku, najdroższa. Odrzucisz jednym gestem twoje wczorajsze życie, jak brzydką, szarą suknię, w której ci było zimno. Owinę cię swoją miłością, jak płaszczem szkarłatnym, i będziesz moją żoną, mojem szczęściem. Wszak chcesz, najdroższa? Przecież będziesz moją? — Zaufaj mi, jedyna... Nie bądź rozsądna... Życie jest tak krótkie... *Nie pozwól, by czas mijał napróżno* —

Wtulił nieśmiałe, błagające usta w szare srebro jej włosów pachnących, musnął przelotną pieszczotą jej zamknięte powieki i poczuł smak łez, cicho płynących z pod drżących rzęs. I w chwili, gdy usta jego z cichym jękiem wtuliły się w bezbronnie rozchylone wargi Teresy, nagle gdzieś za mrocznym gąszczem ogrodu rozległy się czyjeś kroki i zabrzmiał duet męskich głosów. Młody oficer drgnął i oczy jego zapaliły się w ciemności błyskawicą straszliwego gniewu.

— Najdroższa! — szepnął z niewysłowioną czułością. — Przyjdę po ciebie o brzasku i porwę cię, jak skarb odnaleziony. Za godzinę zobaczę światło w twych oknach, prawda? Wszak będziesz moja, jedyna? — zapytał z bolesną, dręczącą trwogą.

— Ach, tak — uśmiechnęła się tajemniczym, dalekim uśmiechem, nie podnosząc ociężałych powiek.

Głosy zbliżały się. Młody oficer, odchodząc, zerwał różę czerwoną, jedyną różę, w tę właśnie noc rozkwitłą, i rzucił ją na biały szal Teresy, jak ostatni pocałunek. Wzięła ją w rękę i przytuliła do powiek, do skroni i do ust jeszcze nieprzytomnych — słodyczą pierwszego w jej krótkiem życiu miłosnego pocałunku.

Czarne gałęzie zamknęły się cicho za gibkim, młodzieńczym kształtem i księżyc znów wysrebrzył góralską willę i białą drogę, którą zbliżali się dwaj mężczyźni. Teresa weszła do pokoju. Pod różowym jedwabnym abażurem paliła się świeca, dokoła której tańczyła, słaniała się i wirowała w miękkich, harmonijnych skrętach srebrzysta ćma. Miłosnem falowaniem skrzydeł tęskniła do światła, zbliżała się do płomienia i oddalała, by znów w szalonym porywie przypaść do ognia w misternym i straszliwym zarazem tańcu Miłości i Śmierci.

Z rąk Teresy wypadła róża i krwawą plamą zastygła na białej serwecie stołu. Szeroko rozwarte oczy, pijane jeszcze pięknością księżycowej chwili, ociężałe rozkoszą i ślepe jeszcze olśnieniem, wpatrzyły się szklanem od łez spojrzeniem w szalony, miłosny taniec ćmy.

Zadrżała, słysząc pod oknami głos męża, rozmawiającego z generałem, przyjacielem z młodzieńczych jeszcze lat. I nagle do jej świadomości, napół uśpionej narkozą przeżytej na werandzie sceny, dobiegły fragmenty rozmowy:

— Ależ tak... Całe to pożegnanie oficerów rezerwy wypadło zupełnie przyzwoicie, choć zbytnio się przeciągnęło. Na szczęście jutro nie strzelamy. Miłe to chłopaki, tylko ten Rosnowski był jakiś niesamowity...

— Czytałeś, pułkowniku, tę jego ostatnią sensacyjną powieść wojskową „Dzwon na trwogę“? Kapitalna rzecz. Ma talent, bestja, szkoda, że tak źle strzela.

— Czytałem, generale. Pyszna książka. Nie pojmuję jednak, czego ten człowiek chciał ode mnie podczas całego bankietu. Patrzył na mnie chwilami, jak lunatyk, albo jak kandydat na mordercę. A przecież choć nie ma pojęcia o balistyce i strzela pod psem, wypisałem mu pierwszorzędną kwalifikację...

— Może kocha się w twojej żonie? — zaśmiał się potężnym basem generał i zapalił gasnące cygaro.

— On w Tereni? Niemożliwe. Po pierwsze nie znają się nawet osobiście. Po za tem Terenia unika towarzystwa naogół, a młodych oficerów w szczególności. Klasztorne wychowanie, generale... Skarb, fenomen, anielska dusza... I takie to młodziutkie, a takie mądre, takie zupełnie niepodobne do dzisiejszych powojennych kobiet, co jak oszalałe rzucają się w użycie, jak ćmy w ogień...

Ramiona Teresy zadrżały w lodowatym dreszczu. Dokoła płonącej świecy srebrzysta ćma zawirowała gwałtowniej i namiętniej.

— Tak bardzo pragnąłbym, przyjacielu, aby była szczęśliwa... Znasz historję mego małżeństwa, prawda? Samotne, przecudne biedactwo, zła, stara ciotka, która je do grosza okradła, i ja, starszy, siwiejący pan, samotny także, jak kołek, z trwogą patrzący w pustą, zimną przyszłość. Pokusa była zbyt silna. Uległem, wierząc w bezwzględną prawość tego dziecka, wiedząc, że nigdy nie splami mego nazwiska i nie ośmieszy mnie, jak to czynią te dzisiejsze ćmy. I czy uwierzysz? Wątpię, czy przeżyłbym stratę Tereni, gdyby kiedyś ktoś młodszy i piękniejszy chciał mi odebrać ten mój jedyny promyk, jedyne szczęście mego twardego, żołnierskiego życia... Staram się ją kochać bardziej jak córkę, niż jak żonę, bo tę drugą miłość dławię w sobie, zabijam i poskramiam... Wszak mi żal jej lat dziewiętnastu i wstyd moich siwych włosów... Ty to rozumiesz, przyjacielu — —

Ostatnie słowa zadrżały wstydliwą czułością i było w nich coś z niedopowiedzianej, bolesnej skargi.

Szara, miękka ćma opaliła sobie skrzydła, upadła na chwilę tuż obok róży, lecz w szaleństwie swej miłosnej ku światłu tęsknoty znów zatrzepotała z wysiłkiem skrzydłami i zawirowała dokoła płomienia.

Teresa, wsłuchana w słowa męża, stała nieruchomo i nie spuszczała wzroku z ćmy. Twarz jej bladła, szarzała i krzepła w posępnej, rozdzierającej żałości. Gasły oczy, przed chwilą zalane łzami niewypowiedzianego szczęścia. W linję gor,czy twardniały usta, owiane płomieniem miłosnego pocałunku. Ciężko i głucho bijące serce rozsadzała walka ponad siły, męczarnia podobna do agonji. Zamknęła oczy i wsłuchała się w rozpaczliwy krzyk swej młodej, ledwie rozkwitłej miłości. Krzyczała o życie, jak dziecko duszone rękami matki-zbrodniarki. A skroś ten krzyk dzwoniła skarga z łagodną zadumą, z wstydliwą czułością cicho wyznana: „Staram się ją kochać bardziej jak córkę, niż jak żonę...“

— Dlaczegóż mam tej wzniosłej wielkości przeciwstawiać właśnie wielkość — mej ofiary? — pomyślała niemal nienawistnie i spojrzała za otwarte okno w gwiaździstą, powoli bladnącą noc.

Ktoś zapukał do drzwi cicho i nieśmiało.

— To ja, Tereniu, czy wolno? Chciałbym powiedzieć ci dobranoc...

Czekał długo na odpowiedź. I gdy usłyszał jej głos, wszedł, jak zwykle, trochę niezręcznie, z łagodnym, zakłopotanym uśmiechem. Wytworny, szczupły i nadmiernie może wysoki, wydawał się sobie kolosem w tym niewielkim, różowo oświetlonym pokoju, gdzie przywiezione z miasta, biało lakierowane łóżko Teresy lśniło atłasem kołdry i wykwintem kosztownej bielizny. Bukiet ostatnich, kwitnących akacyj mocno pachniał u wezgłowia pod ulubionym, małym obrazem Madonny Perugina, z którym Teresa nie rozstawała się nigdy.

Spojrzał na żonę, opartą o framugę okna i wpatrzoną w płomień świecy. Tak bardzo była blada i coś posępnego paliło się w jej oczach, szeroko i boleśnie jakoś rozwartych. Usta miała nadmiernie czerwone o wyrazie nieznanym i budzącym trwożny niepokój. Popatrzył na stół. Na białym hafcie serwety leżała martwa, spalona ćma i ponsowa, świeżo zerwana róża.

Pułkownik przestraszył się, jakgdyby ujrzał widmo nieszczęścia, czy jakiś tajemny jego symbol. Zapytał z lękiem:

— Tereniu?

Spojrzała na niego przelotnie. Dumała nad czemś głęboko i boleśnie i wreszcie zapytała obcym, martwym głosem:

— Już blisko brzask, nieprawdaż, Ryszardzie?

Spojrzał na gasnące gwiazdy.

— O tak, Tereniu. Noc już blednie. Taka jesteś dziś inna... Czy czujesz się źle, biedactwo moje najdroższe?

Potrząsnęła przecząco głową. Powoli zbliżyła się do stołu i w obie rozwarte dłonie wzięła różę. Patrzyła na nią długo zagasłemi oczami, blada i nieruchoma. Wreszcie westchnęła cicho, obróciła się ku oknu i wyrzuciła kwiat w mrok ogrodu. Powoli zamknęła okno i szczelnie je zasłoniła. Przed drzwiami werandy, przez które, niby strzęp srebrnego bisioru, wlewał się jeszcze mdlejący blask księżyca, przystanęła i patrzyła w ogród.

— Czy pomóc ci, Tereniu, zamknąć te drzwi? — zapytał pułkownik, wciąż dręczony lękiem.

Oparła czoło o oddrzwia i trwała w jakiemś przerażającem zamyśleniu. Po chwili milczenia wyprostowała się, tłumiąc na zbielałych ustach jęk i skinęła twierdząco głową. A gdy drzwi zostały zamknięte i szyby ich starannie przesłoniła stora, Teresa powoli obróciła się ku światłu. Była przezroczyście blada, surowa i milcząca. Przez chwilę stała przy stole i patrzyła na czarnego trupa spalonej ćmy.

— Tereniu, tobie coś jest? — jak zoddali doszedł do niej trwożny głos męża.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem i odgarniając z czoła pukiel rozwianych włosów, powiedziała cicho, jakby sennie:

— Teraz już wszystko dobrze, Ryszardzie. Dziś jest zbyt późno, byś mi opowiedział szczegóły tego interesującego bankietu, ale jutro upomnę się o nie sama. Należy się nam obojgu wypoczynek — —

Jeszcze wzrokiem o coś pytał, czegoś się lękał, sam nie wiedząc czego — tej wyrzuconej przez okno róży szkarłatnej, której gorący odblask palił się na młodziutkich ustach Teresy, czy czarnego trupa ćmy, na którą tak szczególnie patrzyły te zagadkowe, popielate, jak morze Północy najdroższe oczy. Ale nie chcąc być natrętnym, ucałował rękę żony, gdy nagle spojrzała mu w oczy głębokiem, mądrem i smutnem spojrzeniem i powiedziała ciepło i prosto:

— Dobranoc, Ryszardzie. Śpij spokojnie. Naprawdę — śpij spokojnie...

— Dobranoc, mała moja Tereniu. Dziękuję ci...

Dłoń jego nieśmiałą pieszczotą musnęła jasną głowę żony. Raz jeszcze ustami dotknął jej bezwładnej ręki i cicho zamknął za sobą drzwi.

— — — — — — — — — — — — —

Nie słyszał krzyku Teresy i nie widział, jak padła na łóżko z rozkrzyżowanemi ramionami, niby człowiek śmiertelnie ranny w samo serce.

W październiku 1926 *Helena Filochowska*

MORZE I DZIEWCZYNA

3)

Powieść nagrodzona na konkursie „Świata Kobiecego“

GDY ujrzały Illę, ucieszyły się obie szczerze i wprowadziły ją na werandę, łączącą sąsiednie pokoje. Wokoło dwóch małych trzcinowych stolików siedziało kilka osób.

— Pani rozróżnia znajomych, prawda? Taki pyszny księżyc — mówiła Miasojedowa — tu w cieniu, Lubow Siergiejewna; wyjątkowo zgodziła się nas odwiedzieć, odludna! Poza gimnastyką, biegami i tańcem o niczem nie chce wiedzieć! Podajcie panowie krzesło pannie Illi. Ach ta ciasnota! Ot tak, nad stolikiem. Mego męża do tej pory niema.

Z sąsiedniego pokoju wybiegły na werandę Oleczka i Tonia. Za Tonią niósł krzesło milczący Witold Herburtowicz.

Zaczęło się podawanie herbaty i ciasteczek. Gładko zaczesane włosy Miasojedowej lśniły w księżycu wokoło matowej twarzy. Wszedł nowy przybysz; Illa domyśliła się, że to Miasojedow, o którego urodzie i tańcu wiele słyszała oddawna.

— Państwo znają się wszyscy! Ach przepraszam, panno Illo, pani pozwoli: mój mąż!

Miasojedow ukłonił się.

Illa doznała prawdziwego olśnienia. Smukły, wspaniały w proporcjach i w ruchu, a co za pyszna obsada głowy, co za sklepienie czaszki!

— Sergjuszu, już niema miejsca dla ciebie — z udaną rozpaczą martwiła się żona.

— Dla mnie niema miejsca? To się jeszcze nie zdarzyło! — roześmiał się, pewny siebie i wrażenia, które wywierał.

Prześlizgnął się między siedzącymi, przełożył nogi za poręcz i usiadł na kamiennej balustradzie, wpatrzony nieruchomo w księżyc. Illę ogarnęło rozczarowanie. Był zbyt widocznie umalowany. Chociaż, kto wie? Właściwie dobrze mu było z tem, szczególniej pretensjonalne egipskie linje od kątów oczu poprzez skroń podnosiły oryginalność jego typu.

Lecz rozległ się zgodny chór protestów:

— Och, Sergjuszu! Tyłem do nas? Bezczelność? Jakże można, proszę się odwrócić, bo wszyscy wyjdziemy! Miasojedow zrobił zwrot z precyzją akrobaty.

— Wolicie państwo, bym zasłaniał widok? Dobrze, niech tak będzie!

Wszedł jeszcze ktoś — jakiś mundur. Illa poczuła ucisk w skroniach i serce zabiło jej gwałtownie.

Pani Miasojedowa już przedstawiała:

— Podporucznik Krzysztof Bolęcki.

Gdy przyszła kolej na Illę, skłonił się bez żadnego akcentu i wyrzekł naturalnie:

— Znamy się.

— Niech pan sam stara się o krzesło! — radziła pani Pawłowa. — Tam, w pokoju, jeszcze się jedno znajdzie.

Po chwili Bolęcki siedział w rogu werandy obok Illi, trochę na uboczu od reszty towarzystwa.

Długo milczeli śród ogólnej rozmowy. Wreszcie podporucznik poprosił półgłosem:

— Musi mnie pani trochę zorjentować w towarzystwie! Kto to jest, ta przemiła panna, blondynka z krótkiemi włosami, co pomaga pani domu?

— Prawda, jakie ma prześliczne blado zielone oczy? — podchwyciła Illa. — Przy księżycu mało widać. To nie panienka, to pani Pawłowa. Mąż jej ma coś z pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat, jest generałem na froncie. Ona się tu leczy, bo ma wątłe płuca.

— Taka młodziutka, i taki stary mąż — to niedobrze!

— Bardzo go szanuje. Pobrali się dwa lata temu, gdy kończyła szkołę baletu.

— Zupełnie mówiąca buzia... A ta wysoka osoba z ostrym profilem, w ciemnej sukni? Ma rasowe ręce.

— O tej mogłabym panu wiele powiedzieć. To jest „estafetna“!

— Cóż to znaczy?

— Poznałam się z nią na wybrzeżu. Tańczy wspaniale! Zwykle gdzieś daleko za miastem, nad morzem, gdzie niema ludzi. Ale nieraz ją widzę, jak kilometrami biega po plaży w swoim ciemnoszafirowym kostjumie. Zresztą w tym samym kostjumie, boso, odwiedza nielicznych znajomych, ale to robi tak po prostu... Wszystkich intryguje, gdyż jest tu odniedawna, i mało kto ją zna. Włodzio Malinowski, brat moich kuzynek Toni i Oli, błagał mnie, żebym go przedstawiła, a potem, kiedy go koledzy zapytywali, kim jest ta pani, nabrał ich, że to szybkobiegaczka, i nazwano ją na plaży: „estafetna“. Jest to tancerka z Moskwy. Jej mąż podobno rzucił ją — jakiś gruby kupiec — a człowiek, którego ona kocha, jest na froncie.

— A ci panowie?

— Tamci dwaj? To jacyś mało ciekawi ludzie. Zdaje mi się, że Arkadin — to typowy Rosjanin, w miarę chytry, po wierzchu układny, do pewnych granic wrażliwy i uczuciowy, zresztą monarchista z gatunku tych wyznawców idei, co to nie lubią narażać skóry.

— Typowa twarz małorosa!

— Tak, pochodzi z Rostowa. Wiem o tem stąd, iż spotkałem go podczas klęski Brusiłowa w Karpatach, gdy kupował sobie chałwę; pytam go: „Panie, pan się nie martwi?“ — „Czem“? — „No tem, co się dzieje na froncie!“ — machnął ręką: — „Do Rostowa nie dojdą, a ja rostowski!“ I taka wesołość przytem!

— Tak, specjalny patrjotyzm... A tamten semita?

— To jego przyjaciel, doktór Majnow. Lubi opowiadać o swoich studjach w Szwajcarji i o oszustwach poborowych w komisji lekarskiej, do której należy. Nudny, hałaśliwy i mało kulturalny.

Umilkli oboje. Jednocześnie, niewiadomo skąd, przypomniał im się krzyż u antykwarjusza.

— Mam go już u siebie, ten krzyż, i gdybym nie był przesądny, odesłałbym go pani. Musiał przejść różne koleje. Na odwrotnej stronie brak jednej płytki, i pełno w tem zagłębieniu ziemi.

Znów zaległo milczenie, tonące w zgiełku ogólnej rozmowy i śmiechów.

Illa postanowiła przerwać je za wszelką cenę: było zbyt bezceremonjalnie bliskie.

— Tonia ma dużo wdzięku, prawda? Nie widzi się jej piegów, ani kartofelkowatego noska, taki ma pyszny, trochę drapieżny uśmieszek i tyle słońca? A wie pan, że ona tu często przychodzi, bo pani Miasojedowa ją uczy. Tonia jest bardzo zdolna, tylko niepotrzebnie wujenka produkuje ją na każdym festynie i na dobroczynnych zabawach.

Obecni jęli nastawać na panią Pawłową, by zaśpiewała.

— Doktór niebardzo jej na to pozwala — szepnęła Illa — ale ona lubi śpiewać i wie, że mąż nie ma nic przeciwko temu, podczas gdy tańca wyrzekła się ze względu na niego.

— Heleno Pietrowno — prosimy, bardzo prosimy, koniecznie!

— Pan Miasojedow zaakompanjuje!

— Ja? Och tak mi tu dobrze! Byłoby to poświęcenie się dla państwa i dla Heleny Pietrowny.

— Pawłowa roześmiała się:

— Nie chcę poświęceń od nikogo! Może pani zagra, panno Illo?

Lecz Miasojedow już był w pokoju i rozkładał nuty:

— Co będzie najpierw?

— „Koroczka“, „Koroczka“! — wołano.

— Nie, „Sosna“! — prosiła „estafetna“.

— No to najpierw „Koroczka“, potem „Sosna“, dobrze?

Miasojedow niecierpliwił się.

— Prędzej, jak śpiewać, to śpiewać! Jazda, Marja Pietrowna, w drogę!

Parę niedbałych uderzeń i metaliczny mezzo-sopran jął frazować tęskną piosenkę ludową o jakiejś dziewczynie w małym pokoiku, coby suchą skórką chleba i wodą żyła, byle mieć przy sobie miłego, a ten miły o każdym liście mówi, że go nie czytał — o łzie, że jej nie widział... Więc niech jej nie męczy już, niech go inna tak pokocha, jak ona kochała, i też sobie samej na zgubę!

Miasojedow akompanjował przepysznie, podkreślając każdą intencję śpiewającej, a usuwając się zarazem w cień. W głosie Pawłowej tyle było dziewczęcego smutku i rezygnacji, że gdy skończyła, zaległo milczenie, przerwane jedynie przez wykrzyk doktora Majnowa:

— Druga Wialcewa, słowo daję!

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, zażenowani czegoś i wzruszeni.

Illa spojrzała na Tonię: Tonia miała usteczka zaciśnięte, całą twarzyczkę boleśnie ściągniętą, a palce splecione na kolanach mocno, mocno...

Miasojedow jął naglić:

— No, teraz „Sosna“ dla Lubwi Siergiejewnej! Zaczynam!

Jeden jedyny minorowy akord gdzieś w dolnym rejestrze. Nim minęły jego echa, głos zaczął sam. Zawtórował mu beznadziejny pochód akordów, jak smaganie deszczu śród stepów:

Sosna stoi na polanie samotna, targana wichrem. Samotny, jak ona, przechodzień chciałby objąć ją ramionami, i tam, w podniebnej wichurze, kołysać się z nią wśród chmur...

Cała beznadziejność duszy rosyjskiej owiała słuchaczy.

Illa miała łzy w oczach i nie wiedziała, jak je ukryć.

— Teraz „Bzy“, dobrze? — prosił Arkadin.

— Nie, nie można więcej — zgromiła go ostro „estafetna“.

Marja Pawłowna robiła wrażenie zmęczonej. Usiadła za pianinem. Miasojedow podał jej szklankę herbaty, a gdy protestowała, objął ją serdecznie ramieniem:

— Niech się dziecko napije, a potem odpocznie u mojej żony na kozetce! Zgasimy światło, będzie cicho...

Pogładził płową czuprynkę Pawłowej, wyprostował się i wrócił na werandę. Rozmowa nie kleiła się. Majnow opowiadał, jak to jakiś żydek, zbudowany „jak Apollo“, stanął przed komisją i na nic się nie skarżył, wbrew obyczajowi swych współwyznawców, a gdy zachwyceni jego zdrowiem i męstwem lekarze już mieli się podpisać — on z flegmą wyjął... szklane oko i położył je na stole. *C. d. n.* *Marja Niklewiczowa*

CO PRZYNOSI SZCZĘŚCIE?

„Panu Bogu świeczka i djabłu dwie", mówi staropolskie przysłowie. Tak było zawsze i było wszędzie. Wynika to z pojęcia dwóch sił, rządzących światem: jednej — dobrej, ludziom życzliwej, drugiej — złej, podstępnej. Do pierwszej idzie się prostą drogą, mówi się głośno, językiem wszystkim zrozumiałym; do drugiej — okrężną ścieżką, prosi się ją wykrętnemi słowami, częściej nawet nie słowami, lecz symbolami. Dla ubłagania tajemniczej siły, co rządzi powrotem do Rzymu, pije się wodę z fontanny di Trevi, a do Sekwany rzuca się metalowy susik, żeby móc raz jeszcze ujrzeć czarodziejskie miasto.

Ludy dzikie dotąd obwarowują się przeciw nieszczęściom w podobny sposób. U nas, w warstwach inteligentnych, uciekano się do tego jedynie w wyjątkowych okolicznościach. Ale wojna wznowiła kult fetyszów, zabobonów, wiarę w to, że pewne rzeczy przynoszą szczęście. Niebezpieczeństwo, przeciw któremu nie można było walczyć ani wolą, ani siłą, ani rozumem, niebezpieczeństwo wyższe od nas, bo nie dające się opanować, wzbudziło w człowieku cywilizowanym — prymitywa. Zaczął szukać obrony w tajemniczych siłach, zapragnął mieć przy sobie zawsze coś — co szczęście przynosi. Bronić się sam nie może — niech go coś obroni! Władzę tę przelano na zwierzęta, żywe, najczęściej psy, lub sztuczne. Niemcy mieli w swych transzejach małpy i niedźwiedzie — zabawki dziecinne. We Francji powszechnie uciekano się pod opiekę — lalek, t. zw. *mascotte* — (masco po prowansalsku znaczy — czarownica).

Bardzo to ciekawe i trzeba to często podkreślać, bo ludzie łatwo takie rzeczy zapominają, pierwsze lalki były pochodzenia polskiego. Pani Paderewska dostarczyła funduszów p. Łazarskiej, która pomysł swój urzeczywistniła ze współudziałem licznych artystów naszych, zaskoczonych przez wojnę w Paryżu.

Lalki te były robione z gałganków i przedstawiały typy ludowe, potem oczywista, gdy sztuka ta zaczęła się rozwijać, z rąk mistrzowskich wyrastały różne osóbki. Takie lalki, *porte-bonheur*, poszły do transzei, małe, żeby można je było nosić przy sobie; *anty-cafard* też je znano, bo odpędzały nudę, leczyły z handry. Wielkie „szmaciane" damy uśmiechały się w jadalniach oficerskich, przynosząc szczęście każdemu, kto na nie spojrzał, a Walek z Sussexu ocalił część załogi tonącego okrętu. I jak niegdyś Nike Samotracka, na dzióbie korabiu greckiego stojąc, prowadziła go przez wodne odmęty, tak też lalki polskie kierowały lotem aeroplanów i miały nieraz tak od kul podziurawione sukienki, że zmieniać je trzeba było.

Dzieje tych zwycięskich opiekunek wymagają swej historji, tak samo, jak dzieje uczuć, jakie względem nich żywili ich właściciele.

Dlaczego lalki te były tak kochane? Nietylko w nie wierzono, ale i kochano je. Bo były wspomnieniem kogoś, kto je dał, bo w naiwności swej miały coś ludzkiego, bo wreszcie taka wyimaginowana istotka jest na swój sposób czemś żywem.

Przyszedł rok 1917 — najgorszy dla Paryża. Ale grubej Bercie stolica odpowiedziała — uśmiechem. Poszukano przeciw niej — obrony. Zaczęto robić z włóczki kilkocentymetrowe, małe, malutkie laleczki — *porte-chance*, żeby mieć je można blisko i ciągle przy sobie: w torebce, w portfelu, w klapie od marynarki. Ochrzczono je ogólną nazwą Poulbot, od nazwiska malarza, który wcale ich twórcą nie był, albo Ninette et Rin-tin-tin, dalejże od imienia tego artysty i jego żony.

Wojna ustała, ale moda *mascotte* nie ustała. Przyzwyczajono się do takiej małej opiekunki i *porte-bonheur* są dziś w każdym domu. Sportsmeni, ludzie odważni a zabobonni, noszą je dalej przy sobie. Auto, które w dzisiejszych czasach jest małym przenośnym domkiem, posiadającym kwiaty, bibljoteczkę i przybory toaletowe, zapragnęło mieć też swego opiekuńczego bożka. W okienku, umieszczonem w tylnej ścianie pudła, zjawiły się główki i drobne figurki. Obecnie jednak już i to nie wystarcza. W aucie mieszkają nieraz całe rodziny „dobroczynnych" lalek. A czasem obok samotnego podróżnika zasiada naturalnej wielkości sztuczna osoba — żeby mu się w drodze nie nudziło i żeby strzec go od wypadku.

W ostatnich czasach bardzo modne są małe czupiradełka z orzeszków pistocjowych, które tu sprzedają na ulicach i po kawiarniach, a cudzoziemcy gryzą je, znajdując w tem prawdziwie „paryski" smak. Laleczki te, obleczone w jakąś stylizowaną sukienkę, są niepomiernie śmiesznie ruchliwe.



S. Łazarska: „Mascotte" pour l'auto



S. Łazarska: „Hydrofile" — „Mascotte" lotnika Francuza, który zginął 3 tyg. przed zawarc. pokoju



S. Łazarska: „Mascotte" ślubna — „Princesse Astrid de Brabant" w stroju ślubnym

Prócz *mascotte*-lalek, które nietylko zdobyły sobie prawo obywatelskie, ale panują ponad wszystkiemi innemi fetyszami, dalej są w użyciu tradycyjne słonie, świnki, pięciopalcowe dłonie, które fakirzy rozdają na swych przedstawieniach, na Wielkanoc ryby czekoladowe, a na Boże Narodzenie znów pantofelki.

I co jeszcze przynosi szczęście?

Optymista mówi: Wszystko to, w co się wierzy, że przynosi szczęście.

Pesymista mówi: Wszystko to, czego się nie ma i mieć nie może. *A. W.* (Paryż)

JAK POWSTAJE FILM?

GODZINA 7 rano. Reżyser, operator i gwiazdy zajeżdżają autami, statyści tramwajem; (wstali dziś o piątej, aby zdążyć na czas, poprzez olbrzymie odległości, na północny kraniec miasta, na którym grupują się wytwórnie). Reżyser ogląda robotę architekta; stosownie do potrzeb swych zmienia gdzieniegdzie ustawienie mebli, lub, przystosowując się do planu architekta, układa w myśli inne sytuacje scen; chodzi od garderoby do garderoby, doglądając aktorów przy charakteryzacji. Bohater i bohaterka „robią się na ładnych" — t. j., jak zwykle, nie zmieniają swej osobistej urody, poprawiając tylko piękny łuk brwi i cieniując oczy. Charakterystycznym aktorom trzeba tłumaczyć, co będą grali, bo często treść scenarjusza bywa do ostatniej chwili tak głęboką tajemnicą, że jej nawet aktorzy nie znają. (Względy konkurencyjne! Inna firma gotowa nam temat „wyłapać", zwłaszcza jeżeli idzie o przeróbkę jakiejś starej, znanej powieści, nie podlegającej już tantjemom autorskim, albo o jakąś specjalną ideę — o „szlagier"). Erich Kaiser-Titz chwali się, że nie zna nigdy treści filmu, w którym gra; poznaje ją dopiero, kiedy własny film ogląda w kinie.

Godzina 8. Dzwonek. Aparat już ustawiony do zdjęć. Lampy, t. zw. **juppitery**, czekają na rozkazy reżysera i operatora. Kilku monterów stoi przy nich, pod wodzą kierownika świetlnego. Aktorzy wchodzą. Reżyser opowiada im treść sceny, którą mają grać, ustawia ich, wskazuje sytuacje. Próba. Cała scena trwa 25 sekund. „Pani Lya Mara powinna się zwrócić bardziej do aparatu, — pan Kaiser-Tietz robi ten gest za brutalnie". Pan Loebel jest aktorem teatralnym. Reżyser woła: „Machen Sie kein Theater!" Znaczy to: „Prościej, esencjonalnie! Proszę nie zapominać o tem, że w teatrze gest jest mniej widoczny, że uwaga widza rozprasza się tam na słowo i na gest; widz jest tam równocześnie słuchaczem; tu jest tylko widzem! W teatrze gra pan scenę przerażenia, krzycząc i kurcząc się; tu uwaga widza jest ostro skierowana na pański gest i na mimikę: dla wyrażenia strachu wystarczy jedno drgnięcie powieki, — co ponadto — to przejaskrawione". — Jeszcze jedna próbka. — Dobrze! Operator śledził całą próbę na matówce aparatu. Przeprasza pana Loebla, ale pan Loebel wyszedł był w pewnej chwili poza pole zdjęcia. Aparat go nie obejmował. Jeszcze jedna próba: trzeba uważać, by w zapale gry nie wydalić się poza oznaczone granice. Nareszcie okrzyk reżysera: „Światło!" juppitery nagle wybuchają oślepiającem światłem. Monterzy zakładają ciemne okulary. Aktorzy mrużą oczy. Juppitery brzęczą jak olbrzymie bąki; przez chwilę płoną w nich węgle nierówno, — to rosną, to opadają. Po chwili światło jest już jednostajne. Operator dysponuje lampami: „ta więcej na lewo, — tamta wyżej, — tę zgasić, — reflektor podnieść". Światło słońca, które przez szklany dach i szklane ściany zalewało przed chwilą małe atelier, zbladło wobec potwornego blasku kilkuset tysięcy elektrycznych świec. (A jednak mało które atelier może pracować wieczorami: dla zastąpienia tego niepozornego w tej chwili światła słonecznego trzeba specjalnych górnych świateł, kilkudziesięciu olbrzymich reflektorów). — Aktorzy czekają. „Możnaby może zrobić przeciwnie? Wpierw uregulować światło, a potem robić próby. Niechby juppitery świeciły i czekały!" — Nie, panie Loebel, nowicjuszu w atelier; cały dzień pańskiej dobrze płatnej pracy — tańszy jest od półgodzinnego żaru tych lampek. — Cisza. — Operator gotów ze światłem. Czasem jeszcze jedna „generalna" próba w pełnem świetle, potem komenda reżysera: „Numer sceny!" Kierownik zdjęć ma przygotowaną tablicę; na niej wyraźnemi literami tytuł filmu i numer sceny. Staje z tablicą naprzeciw aparatu. Operator poruszył korbką, zakręcił — i scena przy wywoływaniu filmu nie zagubi się już wśród innych dramatów: ma swój numer, sfilmowany na początku (potem się go wytnie). — Kierownik odstępuje. Znów komenda reżysera: „Na miejsca!" Aktorzy się ustawiają. „Uwaga! Kręcimy! Raz — dwa — trzy!" Milczenie. Aktorzy się poruszają. Jest tak cicho, jak w kinie, kiedy się film ogląda w pustej sali, bez muzyki. Juppitery świecą równo z lekkim sykiem. Aparat (jedyny widz: patrzy w tej chwili za miljony ócz, które kiedyś tę scenę oglądać będą) — terkoce cichutko, równiutko. Reżyser rzuca spokojnym, lecz kategorycznym szeptem uwagę: „Lya — wachlarz niżej". (Aktor, nawet najwytrawniejszy, nie jest czasem w stanie ocenić swych ruchów wobec oojektywu: Lya Mara przesłoniła sobie przez chwilkę niepotrzebnie część twarzy wachlarzem). — Reżyser dyktuje półgłosem: „Lokaj wchodzi". Lokaj szeptem coś anonsuje... Lya Mara podaje ramię Kaiser-Tietzowi, — wychodzą. Reżyser komenderuje: „Koniec!" — Światła gasną jak zdmuchnięte świece. — Ostre słowo „Koniec" przerwało ciszę i — jak po zapadnięciu kurtyny na premjerze — zaczyna się gwar i ruch... Lya Mara pyta: „Dobrze?" Reżyser jest zadowolony, chwali. (Kiedyindziej każe zdjęcie powtórzyć). — Lampy przesuwa się do następnej sceny, aparat ustawia się inaczej, zdejmuje się numer nowej sceny: krótkie powiększone zdjęcie twarzy Ewy. — Światło. Cisza. Po pięciu sekundach: „Koniec!" Jeszcze dwie, trzy sceny: czwarta, siódma, dziewiąta... do następnej trzeba się przebrać. Następna scena ma numer 26. Tak się gra w filmie! Dekoracje są tylko dziś! Dziś jest sypialnia Ewy, — jutro będzie w tem miejscu hall hotelowy. Dziś idą wszystkie sceny, dziejące się w tej sypialni. Nr. 4, 7 i 9 działy się w południe, w dzień ślubu. Właśnie młoda para wróciła z kościoła; on wprowadził ją, drżącą, na chwilę do przyszłego gniazdka. Kilka uścisków i pocałunków, — lokaj poprosił ich do sali jadalnej: goście czekają, więc wyszli. Do gości? Nie! Scena z gośćmi dzieje się w jadalni, a jadalnia będzie dopiero za sześć dni. Teraz pośpieszyli do garderoby. On zmienia frak na codzienne ubranie, ona suknię ślubną na szlafroczek. Scena nr. 26 (następna zrzędu scena w jej sypialni) dzieje się w tydzień później, a potem następna w rok po ślubie — smutna scena (oboje w żałobie po jej matce, którą bardzo kochali), ale zato zaraz po niej ostatnia scena sztuki, — to chrzciny dziecka... Sceny w sypialni skończone. Aparat przeniesiono w drugi kat atelier, gdzie czeka piwnica Edwarda. Juppitery przesunięto. Jakieś tajemne, zbrodnicze sceny, pozornie bez związku z sobą, chaotyczne... Potem jakieś konferencje w salonie Henryka... Wszystko to ma jednak swój związek: w scenarjuszu wypływa jedno z drugiego i łączy się w „pełen napięcia dramat erotyczno-kryminalny". Ale grać trzeba w takim porządku, jak tego wymagają dekoracje: często przeżywa aktor wpierw własną śmierć, a potem ubiera się w dress i gra w tennisa.

Zdawałoby się, że tak nie można naprawdę grać, że to wszystko razem — to tylko pospolite komedjanctwo. A jednak to spalanie się w kilkusekundowych scenach dało w wyniku „Gorączkę złota" Chaplina. ...I przed każdą scenką trema prawie premjerowa i po każdej scence rozprzężenie nerwów, jak po pełnej, wielkiej kreacji. A tych scenek, tych premjerek robi się dziennie dwadzieścia, trzydzieści, albo i jeszcze więcej: od godziny 8 rano do 7 wieczór. W międzyczasie jadło się obiad w kantynie, odpoczywało się (kilka scen wolnych). Tylko reżyser nie ma czasu nawet na papierosa. (W atelier palić nie wolno! Materjały wszystkie łatwo palne, a po zatem powietrze musi być czyste, dym szkodzi zdjęciom. I tak rozpylacze pracują prawie bez przerwy).

Im później, tem goręcej. Oczy pieką od światła. Żar bucha od lamp. Maszyniści do pasa nadzy, jak w kotłowni okrętowej. Upał nieopisany. Nareszcie ostatnia scena gotowa. Pensum dnia wyczerpane. Aktorzy odpoczywają; potem, półżywi, ubierają się powoli. Przed chwilą jeszcze sprężyści, zwinni, zgrabni — mają ociężałe, senne ruchy. Reżyser trwa na stanowisku. Ma jeszcze kilka szczegółów do wykonania. *(Dokończenie na str. 224)*



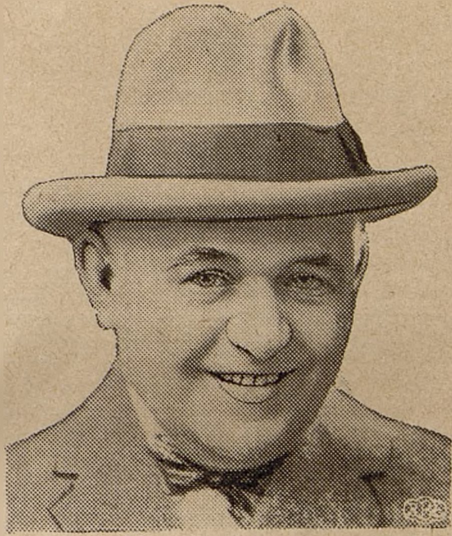
Mieczysława Ćwiklińska

TEATR ĆWIKLIŃSKIEJ I FERTNERA W WARSZAWIE

ZACZĄŁ pracę w niezwykle ciężkich warunkach, mimo to pod sprężystem kierownictwem dyrektora i reżysera Jana Pawłowskiego dał dowód, że należyte wykorzystanie tak doborowego zespołu, jakim rozporządza, umiejętność dobrania kasowego repertuaru i energiczna gospodarka potrafią przezwyciężyć kryzys, który przeżywają obecnie prawie wszystkie teatry!

Największem powodzeniem cieszy się „Mecenas Bałbec i jego mąż" — z niezrównaną Ćwiklińską w roli tytułowej — który mimo sukcesowych 70 przedstawień zapełnia salę po brzegi.

Również wielkie powodzenie zyskały sztuki: „Potasz i Perlmutter" z rewją mód i „Tajemniczy Dżems".



Antoni Fertner

Mieczysława Ćwiklińska, jedna z najznakomitszych polskich artystek komedjowych i pierwsza elegantka stolicy, nie poszła za podmuchem mody i nie obcięła swoich pięknych, złotych włosów. Ostatnio odnosi nadzwyczajne sukcesy w sztuce: „Ta co zwycięża".



Barbara Kościeszanka

Antoni Fertner, ulubieniec warszawskiej publiczności, kreacjami swoich ról rozśmiesza zawsze widownię do łez.

Barbara Kościeszanka, piękność warszawska, w lekkim repertuarze salonowym zdobywa coraz większe uznanie publiczności i prasy.



Jan Pawłowski

Jan Pawłowski, dyrektor i doskonały reżyser „Teatru Ćwiklińskiej i Fertnera".

Marja Gella w szeregu doskonałych ról wybiła się w obecnym sezonie na czoło najmłodszych artystek.



Marja Gella

TE, KTÓRE DOSTAŁY ORDER: „POLONIA RESTITUTA“. — (2) P. Marja Gomólińska. Tak niedawno jeszcze nasza praca, nasze usiłowania kulturalne kryć się musiały w podziemiach. Spędziła w nich długie lata w ofiarnym, nauczycielskim trudzie p. Marja Gomólińska.



Marja Gomólińska

Dziecię Warszawy, tu skończyła szkołę średnią, dopełniając następnie swoje wykształcenie drogą kursów prywatnych. Tak wiele wówczas jeszcze kobiet nie mogło nawet marzyć o uniwersytecie! Los jednak zdarzył, że mogła wyjrzeć na szerszy świat. Znany malarz-artysta Wierusz Kowalski, zamieszkujący w Monachjum, chciał mieć nauczycielkę Polkę do swoich dzieci i ofiarował tę pracę p. Gomólińskiej. Dało jej to sposobność do kształcenia się w pedagogji i językach. Po powrocie do Warszawy oddaje się nauczaniu, a jednocześnie kształci się dalej. Studja uniwersyteckie zastępują wówczas dla kobiet tajne kursy humanistyczne, prowadzone przez wybitnych profesorów; za ich to wreszcie staraniem rząd rosyjski daje pozwolenie na założenie już jawnych kursów naukowych, istniejących do dziś dnia pod nazwą Wolnej Wszechnicy Polskiej. P. Gomólińska była jedną z organizatorek tych kursów, które początkowo, dla niezwracania uwagi policji, odbywały się w jej mieszkaniu. Równocześnie pracuje w jednej z bezpłatnych Czytelni. Nie wiem, czy ogół kobiet polskich zdaje sobie obecnie sprawę, czem dla tłumionej i prześladowanej wówczas w b. Królestwie oświaty były owe Czytelnie. Ludzie ciężko fizycznie pracujący, młodzież szkolna i niezamożna inteligencja znajdowali tam wiedzę w ojczystym języku, tak surowo przez władzę rosyjską wzbranianą. Ale i tu wkrótce one wtargnęły. Ustanowiono rządowych wizytatorów, którzy działalność tych instytucyj kontrolowali, wyrzucając dzieła najlepszych pisarzy. Wreszcie urządzono pogrom, zamykając Czytelnie i karząc więzieniem tych wszystkich, którzy w nich pracowali. P. Gomólińska przesiedziała w odosobnionej celi przeszło pół roku, a potem wzięta pod dozór policyjny, miała surowo zakazane zajmowanie się w czytelniach.

Nie ustała jednak w pracy; nie mogąc stykać się z publicznością, brała udział w naradach głównego zarządu Czytelni i kierowała tą sprawą.

Nadto przewodniczyła jednej sekcji tajnego Koła Kobiecego, które prowadziło rozległą działalność oświatową, jak: tajne nauczanie, organizowanie bibljotek wędrownych, kół samokształcenia i t. p. Gdy wybuchła rewolucja w 1905—6 r. i zelżał trochę ucisk rządowy, stała się jedną z najgorliwszych organizatorek Związku towarzystw samopomocy społecznej, którego zadaniem było skoordynowanie kilkunastu tajnych stowarzyszeń oświatowych, dla skuteczniejszego działania.

Ze Związku stowarzyszeń społecznych wyłoniła się rozległa instytucja oświatowa: Uniwersytet dla wszystkich, mająca liczne ogniska tak w Warszawie, jak i w całym kraju.

Nasza dzielna pracownica objeżdża ogniska prowincjonalne jako prelegentka. Wreszcie w 1908 r. zostaje ponownie uwięziona, a potem zesłana do Pińska, miasteczka w nieprzebytych błotach położonego, gdzie nawet i w tak ciężkich warunkach życiowych prowadzi tajne nauczanie, gromadząc dzieci polskich urzędników kolejowych i wogóle polskiej, niezamożnej inteligencji.

Po powrocie z zesłania do Warszawy, zastaje zmienione częściowo stosunki. Pozwolono na zakładanie polskich prywatnych szkół średnich, ale z warunkiem, że historja i geografja będą wykładane po rosyjsku, co równało się wyrzuceniu historji Polski ze szkoły. P. Gomólińska bierze się znów do tajnego nauczania historji w gimnazjach i prowadzi je przez lat parę.

Wreszcie wybucha wojna światowa, a z jej wynikiem następuje wyzwolenie Polski. Pierwszy Wydział Oświecenia, stworzony jeszcze przy Radzie Regencyjnej, powołuje zasłużoną działaczkę na jedną z głównych organizatorek Kursów dla dorosłych m. Warszawy. Początkowo jest przewodniczącą instytucji, później wraca do swej ulubionej roli wizytatorki i prelegentki. Ale i teraz praca jej wydaje się obcym władzom za gorliwą. Tym razem są to okupacyjne władze niemieckie.

Czasowy komisarz szkolny p. Glarenapp zabrania jej wszelkiej działalności. Zakaz ten jednak pozostaje martwą literą. P. Gomólińska wyćwiczona jest w omijaniu zakazów, pełni więc dalej swoje funkcje, tylko ostrożniej. Aż wreszcie przychodzi radosna chwila wypędzenia okupantów z kraju. Polska wyzwolona, może rządzić się sama, prowadzić swobodnie swoją pracę oświatową.

Dziś nasza działaczka pracuje nadal skutecznie i radośnie, poświęcając jednak więcej czasu działalności piśmienniczej. Przygotowuje obszerną monografję: „O czytelniach bezpłatnych“, która będzie ważną kartą z dziejów naszej niewoli. Napisała też wiele prac z zakresu pedagogji, tak oryginalnych, jak z obcych języków przyswojonych.

Gdyby nasze marzenia łatwiej zmieniały się w rzeczywistość, to powinniśmy wkrótce ujrzeć na jednym z placów stolicy naszej wyzwolonej ojczyzny pomnik, poświęcony pamięci ofiarnej polskiej nauczycielki z epoki tajnego nauczania. Na tablicy należałoby wyryć nazwiska, które nie powinny zginąć w zapomnieniu, ale służyć za wzór i za otuchę.

I. W. Kosmowska

WZÓR NOWOCZESNEJ KOBIETY FRANCUSKIEJ. — Kiedy się mówi o kobiecie nowoczesnej, ma się zwykle na myśli jednostkę, której stosunek do życia, unormowany jej własną świadomą wolą, polega na dążności do zajęcia roli jak najbardziej czynnej i — wyraźmy się tak tutaj — chłonnej. Żyć jak najpełniej, rozwijać się jak najwszechstronniej, wszędzie być, ale jednocześnie wszędzie być pożyteczną — oto najogólniej określone dążenia kobiety nowoczesnej. Maksyma łacińska: „Człowiekiem jestem i nic ludzkiego nie powinno mi być obce“ znajduje tutaj trafne zastosowanie.

O energji, z jaką kroczy ku swym celom nowoczesna kobieta, najlepiej świadczą wyniki, do jakich doszła: coraz mniej jest zawodów, któreby się nie mogły poszczycić wybitnemi nazwiskami kobiecemi, coraz mniej dziedzin życia, które byłyby dla kobiet niedostępne. Co zaś najciekawsze z punktu widzenia psychologicznego i społecznego — to różnica, jaka dzieli współczesną kobietę od współczesnego mężczyzny. Podczas gdy ten ostatni zwykle zasklepia się w swym zawodzie lub niepodzielnie oddaje umiłowanej pracy — kobieta zawsze znajdzie czas i energję, aby obok swych zajęć głównych zaspakajać różnorodne swe zainteresowania. Ten szeroki zakres zainteresowań kobiety nowoczesnej ma ogromne znaczenie ze względu na ogólny poziom kulturalny społeczeństwa.

Jest w Polsce dużo kobiet — i to wśród różnych sfer — godnych chwalebnego miana kobiety nowoczesnej. Koleje życia niejednej z nich — to nieraz cała epopeja, świadcząca o jasnej świadomości celów, do jakich dążyły, i o olbrzymiej nieraz sile woli, na jaką się zdobywały. Życiorysy tych kobiet, dziś wiadome tylko ich bliskim, staną się zapewne kiedyś znane ogółowi mas kobiecych, aby przyświecać jak jasne drogowskazy szeregom nowych pionierek ruchu kobiecego.

Tymczasem przyjrzyjmy się pięknej sylwetce pani Zuzanny Schreiber, którą Francuzki lubią stawiać za wzór nowoczesnej kobiety. Pani Schreiber ma za sobą lata pracy społecznej i — co ważniejsze — politycznej. Polityka czynna — to właśnie jedna z dziedzin, które we Francji są dla kobiet prawie niedostępne, przedewszystkiem już choćby dlatego, że, jak wiadomo, kobiety francuskie nie mają prawa głosowania. Mimo to jednak pani Schreiber jest czynnym i wybitnym członkiem partji radykalnej, ostatnio nawet została mianowana sekretarzem generalnym tej partji.

Elegancka i pełna specyficznie francuskiego wdzięku, p. Schreiber tak opowiada o swem życiu.

Już jako 16-letnia panienka zdała sobie jasno sprawę ze swych zamiłowań i zdolności w kierunku pracy społecznej. Idąc po tej raz obranej drodze, kończy specjalne kursa instruktorek higjeny społecznej i wstępuje w szranki działaczek na tem polu. Wkrótce zostaje zarządzającą przytuliska dla ubogiej dziatwy i tu właściwie po raz pierwszy styka się, ta panna ze sfery bogatej burżuazji, córka senatora — z prawdziwą nędzą ludzką. Z wybuchem wojny kontynuuje swoją pracę w przytułku *„Cirque de Paris“*, gdzie otacza troskliwą opieką nieszczęsne bezdomne kobiety i dzieci. Za tę pracę otrzymuje medale i zaszczytne odznaczenia rządu francuskiego.

„Zetknięcie się z nędzą — mówi p. Schreiber — napoiło mnie przekonaniem, że zło społeczne ma źródło w złych prawach. Dlatego zaczęłam studjować prawo“. Ukończywszy je, obok kontynuowania umiłowanej swej pracy — ulżenia niedoli dziecka, zaczyna brać udział w polityce. Obecnie jest vice-przewodniczącą grupy paryskiej *„Union Française pour le suffrage des femmes“* (walczącego o prawa głosu kobiet) oraz, jak to zaznaczyliśmy już wyżej, wybitnym członkiem partji radykalnej. Pełna ufności w zwycięstwo słusznej sprawy, p. Schreiber nie zaprzecza, iż chętnie będzie kandydowała do parlamentu.

To pobieżne streszczenie życia tej wybitnej Francuzki świadczy chyba dość wymownie, iż zdziałała ona dotychczas rzeczywiście dużo. A musimy tu dodać jeszcze fakty bardzo ważne i ostatecznie wykończające jej sylwetkę:

Pani Schreiber jest kobietą zamężną, wzorową panią domu; dwoje kilkoletnich dzieci otacza czułą macierzyńską opieką, dbając o staranne ich wychowanie. Sama zaś — wytworna i elegancka — świadczy swym własnym wyglądem, iż pośród tylu zajęć i zainteresowań znajduje czas jeszcze na pamiętanie o... *éternel feminin.*

I. Jabłowska

KABARETY NA MONTMARTRZE (korespondencja własna). — Jak wszystko na świecie, tak i Montmartre żyje podwójnem życiem. Jest jeden Montmartre z prawem publiczności, który odsłania się tylko do kolan i chętnie prawi o utraconej cnocie. Przeznaczony jest dla cudzoziemców, z szczególnem uwzględnieniem rasy anglosaksońskiej. Anglik, zagrzebany po uszy w ciepławym kojcu rodziny i purytanizmu, ma też swoje „kwadranse dionizyjskie". Kwadranse te objawiają się w ten sposób, że ojciec rodziny w jasny dzień odkłada nagle „Times", uderza pięścią o stół i woła: „Do djabła z Izbą Gmin! Czuję słodkie łechtanie w dołku!" Wysiadając w Dieppe, rozdyma nozdrza i mimo, że jest w takiej chwili bardziej podobny do buldoga niż kiedykolwiek, czuje wyraźnie, jak tkanki mu się rozszerzają, przymyka rzewnie oczy i wspomina dawno minioną młodość.

W „Moulin Rouge" czeka 60 girls w pozycji zaczepnej i rozwija swe szyki z ową gracją — jakby powiedział Balzac — która sprawia, że rozpusta, nawet najściślej nielegalna, nabiera cech wyższego dostojeństwa. Anglik traci resztę przytomności i przysięga w duchu nigdy się więcej nie zajmować polityką.

W „Kabarecie Nicości" przeżywa cudzoziemiec emocje natury religijnej. Wszelkie gadania o śmierci są przelewaniem z próżnego w puste. Umysł czy dusza nie jest w stanie ogarnąć tego zdarzenia, bądź co bądź decydującego w naszem życiu. Tylko zmysły przerażone, rozrośnięte do infernalnych rozmiarów, pojmują tajniki tego ultrafioletowego procesu. „Kabaret Nicości" zaprasza któregoś z gości, by raczył wejść do stojącej trumny. Żywemi oczyma widzi się zamieranie ciała, rozkładanie się poszczególnych tkanek, wkońcu szkielet. Dzwony biją głucho a stary piccolo odmawia modlitwy.

Wszyscy krzyczą: „Dość! My! chcemy! żyć!" — rytmicznie klaskając. Wówczas nieboszczyk wraca na miejsce, zapalając papierosa.

Po takich wstrząśnieniach głód za miłością osiąga punkt wrzenia. Przy wyjściu czekają odpowiednie osoby, urzędowo upoważnione do ratowania tych, którzy zmartwychwstali i także tych, którzy dotychczas jeszcze nie umarli.

Uświadamiając sobie sens owej następczości, jest się zachwyconym sumiennym i mądrym podziałem pracy w społeczeństwie.

W „Chat Noir" nie jest tak ponuro. Przy flaszce wina chętnie się roni łezkę nad zdradzoną po raz trzeci szwaczką z Batignolles, której dolę opiewają nieuleczalni poeci, niezdolni do żadnego innego zawodu. Dyrektor kabaretu uszył sobie z bezczelności płaszcz, podszyty sztuką, i napada na publiczność, wmawiając np. w stateczną, sznurowaną matronę — sadyzm, a w starego, wypełzłego dandysa — pociąg do dobrych obyczajów. Słowem: obnaża wszystkich do koszuli. A ponieważ koszula nie u każdego znajduje się na wysokości zadania czy zawodu, gniew jest wielki i zgrzytanie zębów.

Ekstatycznie wychudzony piosenkarz śpiewa pieśni o „Nieznanym Żołnierzu, którego spóźniona glorja stała się w ostatnich czasach ważnym środkiem ogólnej eksploatacji. Kabaret nie gardzi konjunkturą i robi w tej mierze wszystko co może.

W „Deux Anes" jest miło. Przeważa tu piosenka polityczna. Efekt jej polega na tem, że opiewa z szczególną pasją erotyczne życie mężów stanu, wyciągając zeń wnioski najdalej sięgające. W Paryżu jest sypialnia zazwyczaj także gabinetem dyplomatycznym i nikt nie bierze piosenkarzom za złe, że poświęcają się także studjom historycznym.

W „Kabarecie Arystyda Bruanta" (niedawno zmarłego) panuje wielki patos społeczny. Bogatszy cudzoziemiec nie czuje się tam zbyt dobrze. Przepowiadają mu krwawą łaźnię, wywłaszczenie, trąd i cholerę, wlewając mu przytem w gardło ciepławą lemoniadę, za którą płaci poczwórnie. Kabaretem tym kieruje osobnik imponujący w każdym calu. Tęgi, barczysty, dowcipny, bezczelny, natchniony, ordynarny i czuły — świetnie czyta strofy o zemście ludu. Przytem psycholog pierwszej klasy. Wchodzącego gościa obejmuje błyskawicznem spojrzeniem i już wie, czem jest, czem był i miażdży go dowcipami, które eksplodują jak nabite szrapnele. Gość siedzi jak na rozżarzonych węglach, uśmiecha się głupkowato i przysięga sobie w duchu nigdy więcej w życiu nie zaglądać do tej przeklętej budy.

Jest jeszcze „Piekło", czerwono oświetlone, w którem źle rzeźbione djabły znalazły stosunkowo wygodne pomieszczenie. Zieją ogniem i siarką, z czerwonych dołów dochodzą jęki katowanych i nieźle wypchanych indywiduów, ciężko zarabiających na swój chleb. Przychodzą tu ludzie, którzy w piekło nie wierzą, ale u których ciekawość przeważa nad sceptycyzmem. Wychodzą niemile dotknięci.

W „Niebie" panuje przepisowy błękit. Widać aniołów obojga płci, świece, trąby, gwiazdy i poduszki, ale powietrze jest nie do wytrzymania. Pachnie tu lyzolem i staropanieństwem. Anglikowi przypomina się święte ognisko domowe i dyskretnie odwraca twarz.

O drugim Montmartrze, niesfałszowanym, czarnym i dla turystów rzadko dostępnym, nie należy mówić ze względów moralności publicznej, która wbrew zapewnieniu niektórych filozofów współczesnych wciąż jeszcze istnieje. *A. Dan* (Paryż).

* * *

═ Zbliża się 150-ta rocznica urodzin Hoene-Wrońskiego, wielkiego filozofa, matematyka i oświeciciela ludzkości. — Instytut Mesjaniczny w Warszawie, który już wydał główniejsze dzieła H.-Wrońskiego w przekładzie polskim, zamierza wydać w najbliższym czasie inne dzieła z zakresu filozofji absolutnej. Lecz dotychczas w literaturze polskiej nie było pracy, wszechstronnie traktującej podstawowe odkrycie Wrońskiego: Prawo Stworzenia. Praca taka świeżo ukazała się we Francji, p. t. „L' Armature Métaphysique établie d' après la Loi de Création de Hoené-Wroński". Autor tego dzieła, Francis Warrain, okazuje, że H.-Wr. dosięgnął szczytów wiedzy ludzkiej i swem Prawem Stworzenia zapewnił postępy ludzkiej myśli na długi okres czasu. — Chcąc przyśpieszyć wydanie tego dzieła w przekładzie polskim, Inst. Mesjaniczny otwiera prenumeratę i zbieranie ofiar na to wydawnictwo. Przy niewielkim nakładzie, cena egzemplarza (zawierającego 350 str. dużej 16-ki) wyniesie w prenumeracie 20 zł. ($2^1/_2$ dol.). Do dzieła dołączona będzie lista prenumeratorów i ofiarodawców, którzy się przyczynią do wydania tej pracy, rozsławiającej w całym świecie cywilizowanym imię genjalnego naszego rodaka. — Zapisy przyjmuje sekretarz Inst. Mesjanicznego, Paulin Chomicz, Warszawa, Piękna 68 m. 7 (godz. 5—7) oraz Bank T-w Spółdzielczych w Warszawie, Jasna 1, konto instytutu Mesj. — Wszystkie pisma proszone są o przedruk.



═ W najbliższym czasie nakładem ruchliwej firmy wydawniczej F. Hoesicka w Warszawie ukaże się monografja o znakomitej polskiej artystce *Helenie Modrzejewskiej*. Będzie to pierwsze obszerniejsze studjum o tej największej aktorce polskiej.

═ Miesięcznik *„Pologne Litteraire"*, żywo i wszechstronnie informujący zagranicę o polskich sprawach kulturalnych i oddający na tem polu wielkie zasługi, — poświęca wiele miejsca artystycznej twórczości kobiet. W nr. 2. w artykule „Un avant-poste perdu" j. i. omawia książki trzech autorek: „Pożogę" Kossak-Szczuckiej, „Burzę od wschodu" Marji Dunin-Kozickiej i „Ostatnią redutę" Elżbiety Zaleskiej-Dorożyńskiej. W nr. 6. Wacław Husarski w długim artykule: „Oeuvre plastique de Sophie Stryjeńska" omawia twórczość tej najwybitniejszej polskiej malarki. W tym samym numerze znajdujemy artykuł „Les travaux et les jours" du paysan polonais", charakteryzujący twórczość Marji Dąbrowskiej.

═ Dziennikarz amerykański C. Moore ogłasza wyniki swych badań nad sprawą, które zawody kobiece najbardziej sprzyjają zawieraniu małżeństw. Otóż na pierwszem miejscu mają stać kelnerki (wychodzi ich zamąż 100%), na drugiem pielęgniarki (80%), dalej idą manikirzystki; najmniej szans mają sekretarki i nauczycielki.

JULJA DICKSTEIN-WIELEŻYŃSKA: Konopnicka. Dzieje natchnień i myśli.

Całe jedno obecne pokolenie kobiet polskich — nie najmłodsze — wychowało się na poezji Marji Konopnickiej. Z zachwytem, lub częściej oburzeniem, czytałyśmy jej credo miłosne, od niej uczyłyśmy się współczucia dla „wydziedziczonych", jej słowami marząc o poświęceniu się dla ulżenia doli młodszej braci. Słabe, niemocne jeszcze do wypowiedzenia swej myśli, pytaniami, jak ona, zarzucałyśmy Boga, wątpliwości młodej duszy, co „jak ptak w pętach się trzepoce", ubierałyśmy w kształt jej wątpliwości, ciskałyśmy gromy w gwiaździste niebo i prosiłyśmy Chrystusa, by zszedł z kamiennych ołtarzy, gdy dziecię bez dachu u progu jego świątyni kona.

Ale dziś poezja Konopnickiej jest dla myśli naszych niemodną, przestarzałą szatą, w której nam ciasno i obco. Konopnicka była wyrazicielką tylko pewnej epoki i pewnych prądów, dlatego głos jej tylko dla jednego pokolenia. Następne, a nawet to samo, gdy przeszło ewolucję, już jej sercem słuchać nie może. A uczucie — to najsilniejszy węzeł, jaki nas z każdym poetą łączy. Konopnicka przestała być dla nas miłością, a nie stała się jeszcze historją. Ale to nie znaczy, by w obecnej chwili należało o niej zapomnieć. Nie należy zapominać nigdy i o nikim, kto kiedykolwiek i jakikolwiek wpływ wywarł, to też wdzięczność winniśmy mieć dla Julji Dickstein-Wieleżyńskiej za jej o Marji Konopnickiej pracę. Z powodów niezależnych od autorki studjum to, napisane w 1918 r., a więc przed 9 laty, ukazało się dopiero teraz. Nie jest ono bynajmniej pod jakim bądź względem przestarzałe, od tego czasu nikt o Konopnickiej nie pisał, nie przybyły nowe materjały, gdyż nawet nie zostały wydane utwory poetki, co do których zastrzegła sobie, że mogą być ogłoszone dopiero po śmierci Marji Dulębianki. Utwory te rzucą zapewne nowe i ciekawe światło zarówno na przyjaźń tych obu zgoła niezwykłych kobiet, jak i na ostatni okres twórczości autorki Pana Balcera.

Praca J. Dickstein-Wieleżyńskiej jest bezstronna. Jakkolwiek szczerą poetkę, jaką jest ona, razi nuta ciągłego altruizmu, a społecznicę, umiejącą realizować swe zamierzenia, razi deklamacja na temat pracy społecznej. Ta bezstronność, umiar i sprawiedliwość widoczna jest zarówno w ocenie pierwszych wystąpień Marji Konopnickiej, zajętej jedynie „bezgłosą tragedją chłopską", następnego etapu, gdy znalazłszy się wśród obcych cudów przyrody i sztuki, ledwie na chwilę zapomnieć może o szarej doli bytu codziennego i boi się wyjść, wylecieć swobodnie z szeroko rozpiętemi skrzydłami w ten świat wielkiej przeszłości wielkich duchów, ta bezstronność, umiar i sprawiedliwość, zabarwiona teraz jeszcze czcią, towarzyszą autorce studjum w ostatniej części jej pracy, gdy mówi o szczytach twórczości Konopnickiej, kiedy to daje nam w Panu Balcerze realnego polskiego chłopa, bada nowych wieszczów i wznosi dla gmachu swych myśli „kopułę ciszy".

Na szerokiem tle, nie wpływologji, lecz zestawień i porównań z Syrokomlą, Asnykiem, Lenartowiczem-Lirniczenką, z Adą Negri i Ludwiką Ackermann, wyrasta duchowo — tylko duchowo — postać Marji Konopnickiej, w przebiegu dziejów jej natchnień i myśli. Wszystko to powiedziane jest językiem bardzo oryginalnym, bardzo własnym — w każdem zdaniu czuje się, że to poetka mówi o poetce.

Aurelja Wyleżyńska



„Bibljotekę Beletrystyczną" J. Mortkowicza w Warszawie witamy ze szczerem zadowoleniem. „B. B." chce przeciwstawić się popularnej literaturze pornograficzno-sensacyjnej — literaturą dobrą i piękną. Szczęść Boże! Książki te są tanie (2 zł. za tomik) i gustownie wydane.

Ks. 1. MARJA KUNCEWICZOWA: Przymierze z dzieckiem. Powieść (?). (135 str.) — Można powinszować młodej autorce niewątpliwego i niespodzianie — dojrzałego talentu. Język doskonale opanowany, pełen pomysłowych *trouvailles*. Najwyżej postawiłbym nader piękną nowelę środkową p. t. „Tamto spojrzenie".

Ks. 2. EWA SZELBURG: Dokąd? Powieść. (122 str.) — Rzecz zwraca uwagę przedewszystkiem bardzo osobistą formą, w której znać świadomy wysiłek ku uniezależnieniu się od wszelkich wpływów obcych. Prospekt zapowiadał tę powieść jako „głęboko filozoficzną, poruszającą odwieczny konflikt wiary". Aliści filozofją nie jest stawianie pytań, lecz próba odpowiedzi. Dalszych utworów zdolnej autorki będziemy oczekiwali z zaciekawieniem.

Ks. 3. ZOFJA RYGIER NAŁKOWSKA: Lodowe pola. Powieść. (110 str.) — Przedruk znanego i słusznie podziwianego utworu najwybitniejszej chyba powieściopisarki doby przedwojennej. Cieszylibyśmy się, gdyby „B. B." przypomniała nam i uprzystępniła również i inne jej książki.

Ks. 4. TADEUSZ NALEPIŃSKI: Kazia. Powieść. (170 str.) — Rzecz osnuta na zagadnieniu, jakie ujście jest etycznie dopuszczalne dla budzącego się w młodziutkiej dziewczynie erotyzmu. Może jeszcze przed paru lat dziesiątkami była Kazia rewolucjonistką w sferze zmysłowej miłości; dziś spotykamy Kazię na każdym dancingu i jak mówi Cros: „j' crois ben qu' j' en ai assez".

Ks. 5. JANUSZ KORCZAK: Dziecko salonu. Powieść. (234 str.) — Książka dobra, uczciwa, przemyślana, a przedewszystkiem — odczuta, jak zresztą wszystkie książki tego zacnego Przyjaciela maluczkich. Bohater dobrowolnie porzuca bogactwo, by doświadczalnie poznać „dno nędzy" suteryn wielkomiejskich. I niemasz w tem niecierpliwiącego patosu rosyjskich „bogoiskatieli", jeno poprostu i z treści samej wyłania się groźne *memento* — jakże potrzebne nam, niefrasobliwym zjadaczom chleba! Rzecz pełna tej miłości, której niezapomniane określenie dał św. Paweł w 1 liście do Koryntjan. *-w-c-i*

Ks. 6 i 7. JULJAN WOŁOSZYNOWSKI: O Twardowskim, synu ziemianki, obywatelu piekieł, dziś księżycowym lokatorze. Powieść. 2 tomy. (140 i 129 str.) — Żałuję, że muszę się ograniczyć do krótkiej wzmianki, w której mogę tylko wyrazić — ale nie umotywować — swój entuzjastyczny podziw dla tej tak po polsku, tak cudownie, tak twórczo opowiedzianej legendy. Rozkosz sprawia i w zdumienie wprawia każde zdanie tej magicznej klechdy. Nie pamiętam, bym w jakim bądź utworze poetyckim ostatnich czasów spotkał tak imponujące zespolenie myśli z tworzywem słownem, które tu są zaiste jakby prawą i lewą stroną tej samej płaszczyzny. Polszczyzna i Powieść o Twardowskim — to jedno. *-w-c-i*

„Bibljoteka humoru" J. Mortkowicza w Warszawie.

Ks. 3. HUMOR AMERYKAŃSKI (73 str.) — Tomik zawiera piękne opowiadanko mistrza prozy HAWTHORNE' a, wesołą humoreskę WASHINGTON'A IRWING'A, „Bardzo zagmatwaną historję o złotej monecie" ARNOLD'A BENNETT'A (który zresztą, będąc Anglikiem, nie zaś Amerykaninem, znalazł się w tym tomiku chyba przypadkowo), wreszcie typowo amerykańską burleskę LEACOCK'A.

Ks. 4. TEFFI: Dym bez ognia. (65 str.) — Czternaście drobnych opowiadanek znanej i lubionej humorystki rosyjskiej. *-w-c-i*

MARJA CZESKA-MĄCZYNSKA: Opowieści Chrystusowe. Dzieciom i mistrz. 311 str. Wyd. II. Nakład Księgarni św. Wojciecha.

Opowiadania te, powstałe z żarliwego uwielbienia, oczywiście nie mówią nam nic nowego o Chrystusie, lecz starają się uczynić Go nam jeszcze bliższym przez poetyckie „unaocznienie" Jego ziemskiego życia. Oto tytuły poszczególnych opowiadań, dające pojęcie o układzie treści: Wysłaniec Boga, U progu życia, Hołd, O tych, którzy czekali, Wyrok Heroda, Na egipskiej ziemi, Jezus i Jan, W Jeruzalem, Ostatni rok w Nazarecie, Dwie potęgi, Nad Jordanem, Początek dzieła, Pójdź za mną Marjo, W mrok, Wiara i... wiara, Dwunasty uczeń, Niewiasta Chananejska. *-w-c-i*

Książki życia. — I. W słoneczne jutro. Ewangelja dnia dzisiejszego, napisał J. WATRA PRZEWŁOCKI. — II. Miljardy w służbie. Myśli HENRYKA FORDA. Wyd. M. Arcta w Warszawie.

„Książki życia" starają się popularyzować u nas zdrowe i płodne, chociaż może niezbyt głębokie zasady etyki praktycznej, jakiemi buduje swe życia dzisiejsza Ameryka. Dla nas Europejczyków, zarażonych zwątpieniem i bolszewizmem, stanowią one dietę bardzo wskazaną — oby była skuteczna! *wgt.*

MODELE MÓD

Do wszystkich modeli dostarczamy krojów oryginalnych!







72 Gustowna sukienka z surowego jedwabiu ze spódniczką układaną w kontrafałdy; przód bluzki w drobne zakładeczki.
73 Oryginalny kostjum, składający się ze spódniczki z czarnej krepy i z żakiecika białego, przybranego czarną wypustką i tasiemeczką.
74 Sukienka z niebiesko-pastelowej crêpe de Chine, przybranie ciemniejsze.

75 Sukienka z białego jedwabiu z żakiecikiem czarnym taftowym.
76 Kostjum z białej wełny z plisowaną spódniczką; żakiet ozdobiony stebnem.
77 Spódniczka z jedwabiu w kratę biało-bronzową; żakiecik biały wełniany, pasek skórzany.
78 Kostjum z zielonego aksamitu i lekkiej wełny w kolorze piaskowym, zapięty na boku.
79 Płaszczyk z miękkiej wełny angielskiej z dużemi kieszeniami.
80 Suknia z długą bluzką z jedwabiu w kratkę szaro-czerwoną; przód, mankiety i pasek szare.
81 Suknia z crêpe de Chine w deseń, przybrana jednokolorowym jedwabiem; spódniczka ze wstawianemi godetami wycinana w zęby.
82 Skromna sukienka płócienna z kołnierzykiem wycinanym w zęby i z długą krawatką.
83 Płaszczyk z szarej wełny, lekko wyrzucany; kołnierz w zakładeczki.
84 Urocza wieczorowa sukienka stylowa z jedwabnej museliny z aksamitnym paskiem i bukietem róż.
85 Sukienka z jasno-zielonej crêpe de Chine, cała plisowana.
86 Sukienka z karczkiem i paskiem, drobno plisowana i ozdobiona mereżką.
87 Sukienka z popeliny jedwabnej z aksamitnym paskiem.
88 Sukienka z popielatej crêpe romain, cała drobno plisowana, karczek gładki.
89 Spódniczka z tafty ciemno-granatowej z białą jedwabną bluzeczką.


84
85
86
87
88
89



90—95 Modne kapelusze, szale, torebka itp.

Do wszystkich modeli dostarczamy krojów oryginalnych!



96 Sukienka ogrodowa z szarego jedwabnego płótna, przybranie kolorowe.
97 Pyjama z jedwabiu vieux rose z szerokim paskiem z owalną klamrą, przybranie białe lub szare.
98 Pyjama z surowego jedwabiu w paski, przybranie jednokolorowe.
99 Ogrodowa sukienka z jedwabnego płótna szkockiego i szarego.



100 Sukienka do I-szej komunji z białej museliny z trzema wolantami i wąziutkim paskiem związanym, długi welon tiulowy.
101 Sukienka do pierwszej komunji z crêpe de Chine we fałdy po bokach, na przodzie kokarda z białej wstążki, welon i wianuszek z białych różyczek.
102 Sukienka do I-szej komunji z markizety lekko wyrzucana z wąziutkim paskiem, wianuszek ze stokrótek.
103 Sukienka do I-szej komunji z białego jedwabnego płótna, ozdobiona lekkim haftem białym, wianuszek z białych różyczek.

Do wszystkich modeli dostarczamy krojów oryginalnych!



104



105



106

104 Kostjum kąpielowy z jedwabiu białego i w czarne paski, do tego stosowna czapeczka.
105 Trykot jedwabny biały z czarnem przybraniem.
106 Trykot czarny jedwabny, przybranie zielone.



107 Spódniczka z lekkiej wełny w dwa kontrafałdy, z baskiną przybraną guzikami i zakładkami.
108 Spódniczka z grubego jedwabiu, kontrafałdy do środka wykończone haftowanemi muszkami.

109 Spódniczka z jasnego jedwabnego rypsu częściowo plisowana, u góry ciemniejsze przybranie.
110 Spódniczka z surowego jedwabiu, układana w kontrafałdy; bluzka z jedwabiu surowego w kratkę.

111 Gładka spódniczka z białej wełny.
112 Spódniczka z cienkiej wełny plisowana na przodzie; szeroki pasek z klamrą.
113 Spódniczka w kontrafałdy, ozdobiona stebnem i guzikami.

WIOSNA, MŁODOŚĆ I MODA

NIE BIERZCIE nam za złe, miłe podlotki, że tak banalnie zaczynamy o Was mówić. I tak jesteście najsłodszemi kobieciątkami świata i nic Wam nie odbierze pachnącego wiośnianego uroku. Nawet moda, dla Was specjalnie skomponowana: moda już nie naiwna, a jeszcze nie wyrafinowana, moda, która ma odzwierciedlić rozwijanie się kwiatów ku słońcu.

Czy chciałybyście nagle, z dnia na dzień, przedzierzgnąć się z dzieci w kobiety? Zbyt wielka byłaby szkoda w pierwszej linji dla Was samych w walorach rozwoju wewnętrznego — dla Waszego otoczenia — i last but not least, dla taktu życiowego, w którym tylko niezwykłe wypadki bezkarnie czynią wyłom. Nie można i nie trzeba jednym skokiem osiągać prawdziwej dojrzałości, a nienaturalna szarża w kierunku typu strojnisi czy jako przeciwna ostateczność, intelektualistki lub „sportswoman" o kanciastych ruchach i łokciach — i co gorsza, rogowych okularach! — jest poprostu niesmaczna.

Skromna angielska linja w kostjumach, płaszczach i bluzkach, a powiewność i miły wdzięk w lekkich sukienkach, to podstawa mody dla dorastających panienek. Urozmaicenia kroju stosujemy bardzo ostrożnie, a tak modnej zresztą geometrji wcale nie widać na młodocianych sukienkach. I słusznie: wprowadziłaby niepożądaną oschłość.

Na codzień radzimy sukienki t. zw. „petites robes" i młodociane „ensembles" płaszczowe lub kostjumy o szczegółach, ładnie odcinających się w barwie. Słoneczna młodość nie lęka się żywych kolorów, tylko przejaskrawienie efektów nie byłoby jej do twarzy. Bardzo świeże i miłe wrażenie robią kostjumy z czarno-białej wełny pepita, ożywione jumperem czy szalem na szyję o wesołym kolorze jasno-czerwonym lub bławatkowym. Szykowny będzie także płaszczyk wiosenny pepita, podbity czerwonym trykotem wełnianym na sukience z takiego samego trykotu, lub jeszcze krótki żakiecik pepita na gładkiej barwnej sukience z lekkiej wełny czy surowego jedwabiu. Najwytworniejsza jest kombinacja pepity i jednolicie białego materjału, ożywiona tylko paskiem, kapelusikiem i torebką kontrastowej barwy. Biała kamizelka np. nada kostjumowi dla młodej panienki piętno ducha czasu i starannego wykończenia.

Stwierdzić należy wielkie i zasłużone powodzenie klasycznej wełny angielskiej; nie uważamy jednak za niestosowne takich ostatnich nowości, jak Toillikasha i Mouslikasha we wzór z drobnych kwiatków, powstałe z inspiracji wschodniej, czysto wełniane lub z wełny przetykanej jedwabiem. Sukienki z tych materjałów mają dużo wdzięku i nie są bynajmniej do pogardzenia, szczególnie w zestawieniu z materjałem gładkim. Bardzo godne polecenia są szkoty, modne a zarazem praktyczne.

Przejdźmy jednak do aktualnych obecnie lekkich sukienek. Wszystkie barwy i kwiaty łąk wiosennych uśmiechają się do nas z kolekcyj materjałów do prania. Więc linon, lekki batyst niciany, bardzo modny w tym roku, muślin, woal, organdi lub jeszcze codzienne lecz miłe „Tobralco" w kratki, groszki i kwiatki. Łódzkie firmy mają również ładny wybór materjałów. Na te najskromniejsze sukienki wybieramy najprostsze fasony; cała ich ozdoba — to pasek, karczek, kieszonki, kołnierzyk, fałdy i marszczenia, a dodatki najczęściej w gładkim odmiennym kolorze. Ładne są odmienne plisowane falbanki u kołnierza, krótkich rękawków i obwodu sukni z linon; nadają się tu również marszczenia w kształcie plastra wosku („nid d'abeilles"). Wrażenie lekkości potęgują wąskie szarfki.

Z jedwabi stosowne są dla dorastających panienek fulary, shantungi, mieniący „radium" w grochy na skromne bluzki i sukienki. Strojne robimy z krep jedwabnych, oczywiście tylko z najskromniejszych (crêpe Georgette i crêpe de Chine), muślinu jedwabnego, taftu i tiulu. Garnitury do plisowania, falbanki, szarfy, wstążki, kokardki, ażury, „rouleautés" i aplikacje. Na sukienkach letnich częste są kołnierze Berthe, a także linje bolera, lekko zaznaczone np. falbanką plisowaną. Wycięcia sukien płytkie. Kwiaty podnoszą wdzięk i świeżość tych młodocianych toalet (bukieciki z drobnych kwiatków albo różyczki u ramienia, wykroju szyi lub paska).

Kwiaty, wstążki i aksamitki zdobią też letnie kapelusze o dużych lub średnich rondach. Jako okrycie wieczorowe młodej panienki występuje płaszczyk aksamitny; na pierwszy swój występ w świecie może nawet włożyć aksamitną „cape" z futerkiem, byle w skromnym fasonie.

Helena Wolska

PANI W PIŻAMIE

„Pyjama" — japońskie dziwo, co jakimś cudem niezbadanym zdobyło Europę i coraz nowym ulega przeobrażeniom. Pani wytworna śpi w piżamie, w piżamie podróżuje wagonem sypialnym i w piżamie przyjmuje gości.

Drecoll i Poiret, mistrze paryscy, do swoich oryginalnych, dla nas nawet zbyt oryginalnych, kreacyj czerpią natchnienie ze stroju odaliski i bajadery — i z jedwabi, haftów i koronek stwarzają typ piżamy, zastępującej strojną suknię domową. Worth, jak zawsze niezawodny w dystynkcji, podaje model piżamy podróżnej, o prostym lecz wytwornym kroju, z naturalnego surowego jedwabiu. Piżama, płaszcz podróżny, pantofle „mules", prześcieradło i futerał w formie dużej koperty, wszystko wykonane w jednym materjale, tworzą komplet pani podróżującej wagonem sypialnym.

My, Polki, naogół, nie mamy tak wygórowanych aspiracyj; nie chcemy jednak zatracić poczucia modnej aktualności, utrzymanej w granicach dobrego smaku. Wiemy, że tylko szczupła i bardzo harmonijna budowa ciała zniesie piżamę bez utraty linji i wdzięku. Że niejedna z nas uratuje czar kobiecości, przekładając nad piżamę lekki „déshabillé" z krepy jedwabnej z koronkami, lub takąż skromną sukienkę-koszulkę, na którą włoży krótką aksamitną „liseuse", rodzaj ciepłej matinki-żakiecika, lub t. zw. „douillette", płaszczyk domowy, watowany i pikowany („matelassé") z mieniącego taftu, sharmonizowanego w barwie i rysunku pikowania z kołdrą swej sypialni (nasz model „Tea").

Natomiast gorąco polecamy piżamę młodym pannom i paniom o smukłych linjach lub chłopięcej, sportowej figurze. W podróży piżama oddaje nieocenione usługi, łącząc wygodę krótkości z ciepłem. Jako strój domowy, daje w rozwinięciu czysto indywidualnych pomysłów dekoracyjnych swobodę tak rozległą, jak żaden inny strój, nie wyłączając sukien wieczorowych.

Zasadniczy krój piżamy jest dwojaki: piżama wzorowana na męskiej, składająca się ze spodenek i bluzy, zapiętej z przodu — i piżama fantazyjna o bluzce w typie „casaque". Bywają także piżamy tworzące jedną całość, ściągnięte w pasie na wstążkę lub gumę. Co do bluz, widzimy dużo kimonowych. Najnowsze są piżamy „trois-pièces". Skala materjałów bardzo szeroka: od najskromniejszych bawełnianych tkanin wzorzystych, do prania, w rodzaju „Tobralco", poprzez flanele, zefiry, welwety, duwetyny i wszelkie, byle niezbyt przejrzyste, gatunki jedwabiów aż do najefektowniejszych (Velours, Chiffon, crêpe Soleil).

Do przybrania piżamy nadaje się aplikacja, inkrustacja, stebny, pikowanie, hafty, malowanie, garnitury z marszczonych wstążek „bouillonnés, lekkie futerko lub marabut, a nakoniec, lecz już wyjątkowo koronka. Nawet aplikacje ze złotej lub staro-



1 2 3 4 5



6 7 8 9 10

1 „Czarny Orzeł", efektowna piżama z czarnego crêpe satin, na ramieniu aplikacja ze złotej lamy lub materji jedwabnej mieniącej, w tonach różowo-morelowych. Modny wykrój szyji w kształcie serca.
2 „Swit, dzień i noc", piżama podróżna z krepy jedwabnej, matowej, w czterech odcieniach stopniowanych koloru popielato-gołąbkowego. Kołnierz szalowy.
3 „Kwiat paproci", strojna piżama z turkusowego crêpe Soleil, haft złoty.
4 „Pierrette", piżama dla młodej panny, biała crêpe de Chine, aplikowane grochy z czerwonej crêpe de Chine, odrobione czarnym haftem, lub grochy białe, odrobione złotem, na piżamie błękitnej. Bluza kimono.
5 „Yamato", wytworna piżama z miękkiej krepy jedwabnej o pastelowej barwie, haft złoty.
6 „Przedwiośnie", płaszczyk-déshabillé z aksamitu lub welwetu morelowego, przybrany wałeczkami z futra beige lub taftowemi bouillonnés morelowemi.
7 „Tea", płaszczyk domowy „douillette" z mieniącego różowo-błękitnego taftu glacé, watowany i pikowany w geometryczny deseń (lub stebnowany złotem). Model ten stanowi całość z podanym przez nas garniturem pościelowym.
8 „To ty", wdzięczna piżama z różowej krepy jedwabnej i wzorzystej crêpelyett, u szyji związana wstążką.
9 „Dzieńdobry", piżama z mieniącego jedwabiu („radium") w tonach liljowo-cytrynowych, stebny srebrne, srebrny sznur z pomponami.
10 „Rosita", łatwa w noszeniu piżama z fularu białego lub beige, w drobny kwiatowy deseń, przybrana biało-czarno.

srebrnej („acier") lamy i takież hafty, stebny, sznury i t. p. będą na miejscu jako ozdoba strojnej piżamy, należy jednak stosować je oględnie, by uniknąć przeładowania, tak przykrego dla oka. Nasze modele „Czarny orzeł", „Yamato", „Kwiat paproci", „Dzieńdobry" dają pojęcie o dyskretnem użyciu złota i srebra. Model „To ty" jest przykładem zestawienia dwu materjałów, gładkiego i wzorzystego (crêpelyett), o rysunku przypominającym bolero. Bluza tej piżamy byłaby również odpowiednia na „liseuse" aksamitną; partje wzorzyste mogą być stebnowane, aplikowane lub inkrustowane lamą. „Pierrette" — to typowa piżama dla młodej panny. „Rosita", miła i praktyczna piżama domowa, i „Świt, dzień i noc", efektowny model podróżny z kilku tonów materjału „dégradé", uzupełniają naszą kolekcję, a welwetowy lub aksamitny płaszczyk-déshabillé, zdobny wałeczkami puszystego futra lub „bouillonnés", przyda nam się nietylko jako „Przedwiośnie", lecz nawet na chłodniejsze dni lata. *Helena Wolska*

JAK POWSTAJE FILM?

(Początek na str. 210)

(Zdjęcie dzwonka dzwoniącego, tabliczki na drzwiach pp. Edwardów Wiernowskich.)

Jutro Poczdam (o ile pogoda dopisze; w przeciwnym razie dopiero za dziesięć dni). Praca na wolnem powietrzu ma swój urok. Nie jest tak gorąco i wogóle swobodniej... ale dziś jesteśmy zmęczeni... Psie życie aktora filmowego! Niema kiedy wydawać tych miljonów, które zarabia — chyba że urlop...

Film się wywołuje, kopjuje i powiela; potem montaż (sklejanie scen), wiraż (zabarwianie na czerwone pożary, na niebieskie noce), — potem — gdzieś w grudniu — premjera. W pierwszorzędnym kinoteatrze. Artyści z reżyserem i operatorem w lożach. Publiczność bije brawo, aktorzy kłaniają się z lóż, dostają kwiaty — próżność ich taką ma namiastkę hołdów, jakie odbierają aktorzy w teatrze na prawdziwej premjerze. Nasza „prawdziwa" premjera odbyła się w czerwcu przed okiem aparatu.

A zresztą jeśli idzie o triumf... Właśnie pisano znów ze Złoczowa (via zastępstwo we Lwowie i reprezentację warszawską): proszą o jak najwięcej naszych filmów. I pisano z Bombaju. I są nowe zamówienia z Sahary. (Tam w oazie pod usychającą palmą powstało już drugie kino. Oba świetnie prosperują). *J. Mayen*

WYTWORNY GARNITUR POŚCIELOWY

W CZASACH triumfów „Niewinnej Grzesznicy“ któraż z Pań nie westchnęła na widok prześlicznej oprawy scenicznej, jaką tworzyło dla Przybyłko-Potockiej jej łóżko. Honny soit qui mal y pense! Westchnęły nawet i te z nas, które nigdy nie żywiły pretensji do tytułu grzesznicy, winnej, czy niewinnej. Ale choćby najbardziej niewinna kobieta winną jest zawsze, kiedy grzeszy przeciw estetyce i harmonji.

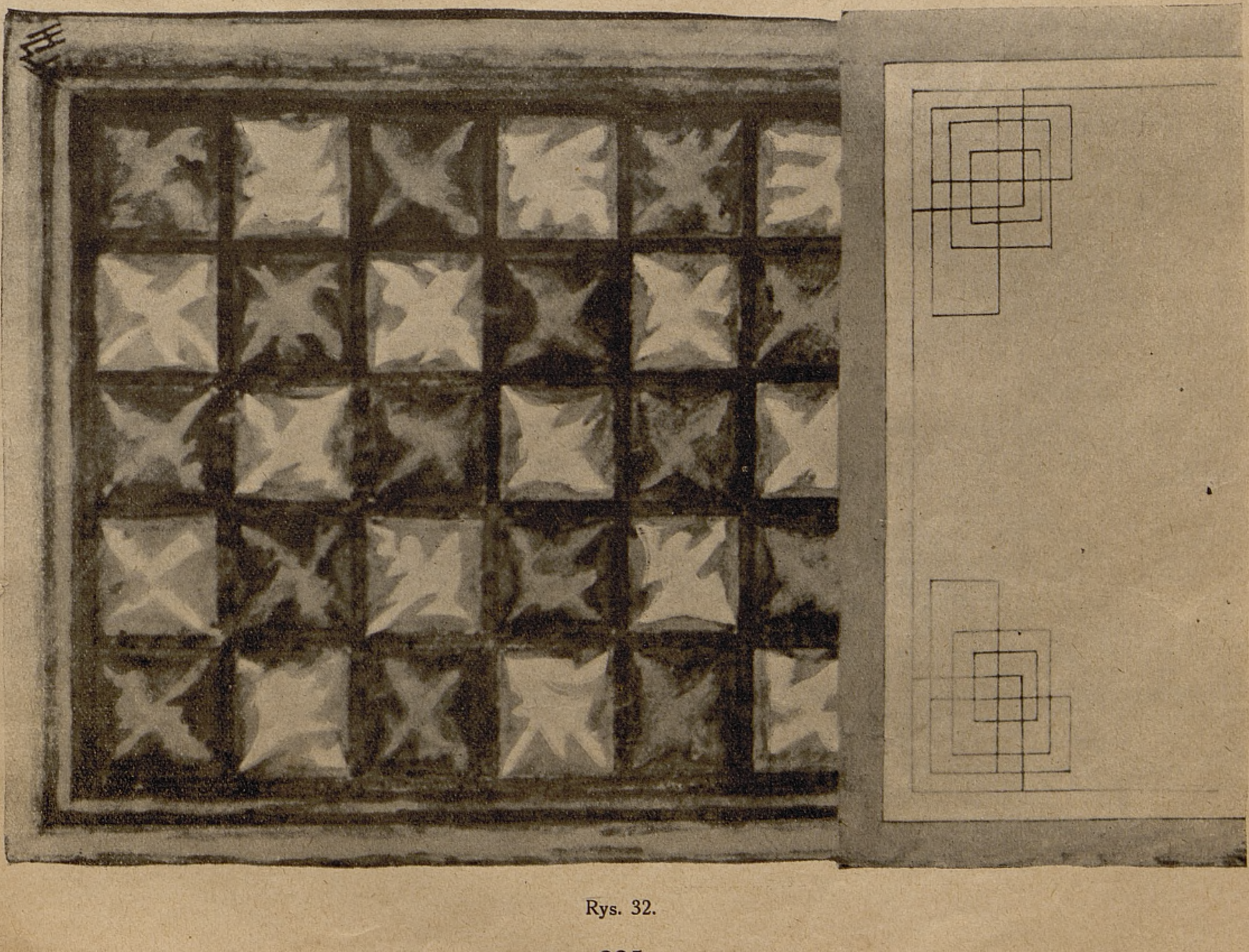
Estetyka i harmonja. Dwa sztandarowe pojęcia dla mody naszych czasów. Minęły epoki barokowego rozpędu, pełni kształtów i wybujałości w stroju. Znikła wyrozumiałość dla dysproporcji. Nic nie może razić w linji i charakterze, każdy szczegół musi być skomponowany i dociągnięty.

Przy takiej tendencji mody otwiera się wdzięczne pole do pomysłów w zakresie bielizny osobistej i pościelowej. Bielizna i pościel — to najintymniejsze otoczenie, tło dla chwil wypoczynku, kiedy kobieta odrzuca balast savoir vivre'u i staje się sobą. Moda obecna sprzyja takim chwilom nastroju. Sprzykrzywszy sobie jednostajną biel, doniedawna stricte obowiązującą w pościeli, stawia nam do dyspozycji całą gamę pastelowych kolorów. Przedewszystkiem blade tony różowe, morelowe, brzoskwiniowe, „mandarine“, „écru“ i „champagne“, a więc barwy, które podnoszą karnację i korzystnie podkreślają indywidualność urody. Nie znaczy to oczywiście, że biała bielizna pościelowa jest wykroczeniem przeciw modzie: białe cienkie płótno lniane, opal czy crêpe-de-Chine, ozdobione ręcznemi mereżkami, haftem Toledo albo wreszcie filetami, noszą zawsze cachet wytworności i niezawodnego smaku. Trzeba tylko umieć wybrać: brunetki o śniadej cerze niech korzystają z mody kolorów takich, jak écru, champagne czy mandarine. Blondynka może się odważyć nawet na białą pościel, szczególnie gdy białość będzie podniesiona barwą kołdry i z kołdrą sharmonizowanego „déshabillé“ czy koszulki nocnej.

Kołdra nowoczesna — to raczej wspaniałe „couvre-lit“. Uległ zmianie charakter materjału i jego zastosowanie. Kołdra mieni się wodnym błyskiem taftu — taffetas glacé — w kilku tonach tego samego koloru, t. zw. dégradé, stopniowanych — lub nawet w dwu barwach skombinowanych deseniem i dostosowanych do obicia sypialni. Prześcieradło stanowi podbicie kołdry, zdobiąc ją tylko strojnym, szerokim wykładem w górnej części. Kształt wykładu będzie n rmowany kształtem poduszki i charakterem pikowanego deseniu kołdry. O ile bowiem znikły już wzorzyste materje na kołdry, o tyle przynosi nam moda najrozmaitsze nowe efekty w deseniach pikowanych i „matelassé“. Jeżeli w obiciu sypialni, w kształtach mebli i w deseniu kołdry dominują motywy prostolinijne, geometryczne, to poduszki i wykład prześcieradła będą podłużnemi prostokątami o geometrycznej ornamentacji (kwadraty, prostokąty, romby, proste listwy w kolorze kołdry i t. p.). Jeżeli natomiast pikowanie kołdry utrzymane jest w wygiętych barokowych linjach, poduszki będą półkolisto zaokrąglone i zdobne falbankami. Barwa i ozdoby bielizny osobistej nie mogą również wyrywać się nieharmonijnie z całości tak skomponowanego posłania.

Oto pokrótce zasady modnych „idées“, lansowanych przez paryskie magazyny i żurnale. Wszystkie pociągają oko kompozycją linearną i barwnością, niewszystkie jednak dadzą się zastosować praktycznie. Chcąc Czytelniczkom „Świata Kobiecego“ ułatwić wybrnięcie z tej trudności, proponujemy Im wytworny a przytem niezbyt kosztowny projekt garnituru pościelowego (kołdra, prześcieradło pod kołdrę i powłoczka na poduszkę).

Kołdra nasza może być wykonana z taftu różowego, niebieskiego lub miodowego w trzech tonach stopniowanych. Wymiary całości wynoszą: długość 1 m 90 cm, szerokość 1 m 30 cm. Środkowa partja kołdry składa się z 40 kwadratów o boku 20 cm. Kwadraty te tworzą szachownicę w dwu tonach tego samego koloru, najjaśniejszym i średnim. Rama, okalająca całą szachownicę i przedzielająca poszczególne kwadraty, utrzymana jest w najciemniejszym tonie tej samej



Rys. 32.

barwy. Szerokość ramy wynosi 2·5 cm. Rama może być dla wzmocnienia kilkakrotnie przepikowana. Obręb kołdry składa się z dwu części. Węższa, w średnim tonie koloru, znajduje się od strony szachownicy i jest szeroka na 5 cm, jasna, szersza, od zewnętrznego brzegu kołdry, ma szerokość 7·5 cm. Zaznaczyć należy, że przy robocie kołdry trzeba doliczać materjału na watowanie i pikowanie, a także na szwy w sztukowanym deseniu — czego nie uwzględniamy przy podawaniu wymiarów gotowego modelu kołdry.

Cały spód kołdry jest wykonany z tego samego materjału, co wierzch, lecz w najjaśniejszym odcieniu. Jeżeli wierzch kołdry będzie z taftu, na spód można użyć innego miększego jedwabiu, lub nawet t. zw. jedwabnej satyny. Nakoniec jeszcze jedna uwaga: taft, choć jest ostatnią nowością dnia, nie obowiązuje bezwzględnie i może być zastąpiony innym jedwabiem, byle gładkim i niezbyt miękkim ze względu na łączenia szachownicy.

Materjał na prześcieradło pod kołdrę i powłoczkę na poduszkę — to najcieńsze płótno lub piękny batyst — a strojniej crêpe de Chine. Kolor biały lub najbledszy różowy czy écru jako ładnie harmonizujące z różową barwą kołdry i listew. Listwy te, wykończone osobno z podwójnego materjału, są użyte jako rodzaj prostej, wolnej falbany i połączone mereżką z właściwą powłoczką i właściwym wykładem. Barwa listew różowa, ton średni z trzech tonów kołdry. Szerokość listew wynosi 7 cm. Wymiary właściwej powłoczki na poduszkę są: 1 m długości, 56 cm szerokości, tak że długość poduszki razem z listwami równa się całej szerokości łóżka. Zapięcie powłoczki pod jednym z węższych boków — kryte.

Właściwy wykład prześcieradła (licząc bez listew) jest w wymiarach 1 m 16 cm $\times$ 56 cm lub nieco węższy. Listwy szerokie na 7 cm.

Ornament mereżkowy — ten sam na powłoczce i na wykładzie prześcieradła. Miejsca na monogramy nie wyznaczaliśmy w naszym modelu dlatego, że monogramy w pościeli nie odgrywają już tej roli, co dawniej. Naturalnie, monogram zawsze umieścić można, byle był w rysunku zgodny z całością.

Tyle o naszym modelu. Kończąc, życzymy Czytelniczkom „Świata Kobiecego", by jak najpomyślniej rozwiązywały zagadnienia kompozycyjne swego „intérieur", a w razie potrzeby służymy Im radą i rysunkami *Helena Wolska*

ZASTOSOWANIE APLIKACJI DO SUKIEN

PRAWDZIWIE artystycznemi ozdobami dzisiejszych sukien są aplikacje oraz inkrustacje wszelkiego rodzaju. Te ostatnie polegają na wstawianiu i łączeniu różnych materjałów przeważnie w tym samym tonie, podczas gdy aplikacja, operując całą skalą barw i odcieni, jest bezsprzecznie efektowniejsza. Trzeba tylko umieć ją zastosować i umiejętnie jej walory wyzyskać.

Podajemy naszym Czytelniczkom parę sposobów łatwego jej zastosowania.

W dziedzinie toalet wieczorowych aplikacja święci prawdziwe triumfy — lama srebrna lub złota na sukni z crêpe satin, crêpe satin w tonach „dégradé", velours chiffon na crêpe Georgette, różne odcienie crêpe de Chine. Specjalnie wytworna będzie aplikacja z velours chiffon lub aksamitu na lekkiej sukni z crêpe Georgette tej samej barwy — np. wzór: „Błyskawice wśród mgły" (rys. 33), który podajemy, został wykonany z aksamitu na crêpe Georgette gris perle. Obłoki z aksamitu popielatego w dwu tonach (1 = perłowo-popielaty, 2 = gołąbkowy), błyskawice z wstążeczki lamowej (3) jasno i (4) staro-złotej, krople rosy (5) z brylancików (strass lub haft srebrzystym jedwabiem). Motywu tego użyć możemy także do sukni mniej strojnej; wówczas błyskawice damy z wstążeczek atłasowych, a strassy zastąpimy delikatnym haftem. Opisany wzór należy umieszczać jako szlak u dołu sukni.

Na suknie wieczorowe dla młodych panienek możemy polecić crêpe Georgette w pastelowych odcieniach (bladożółty, różowy, seledynowy), ozdobioną stylowemi bukiecikami, które lekko po sukni rozrzucone wyglądają zawsze wdzięcznie i młodociano. Nasz bukiecik rajskich jabłuszek można wykonać z velours chiffon w tonach żółtawo-pomarańczowo-różowych, środki zahaftowane ciemno-bronzowym jedwabiem, listki w dwu odcieniach zielonej crêpe Georgette.

Na suknie popołudniowe podajemy piękny wzór czarnych róż, który najładniej wypadnie w niezawodnem zestawieniu czarnej i białej crêpe de Chine. Łatwym do wykonania jest motyw agrestu w kolorach: brudno-pomarańczowym, palonym bronzie i najciemniejszym bronzowym. Można go wykonać równie dobrze z crêpe satin na suknie strojniejsze, jak z sukna lub ze skóry na suknie „deux pièces" z kashy w odcieniu naturalnym. Jedna gałązka, rzucona pojedyńczo na ramieniu, szlak z powtarzającego się motywu u dołu kazaka. Żyłki na owocach i liściach zrobimy ze złotej nitki lub namalujemy złotem en relief.

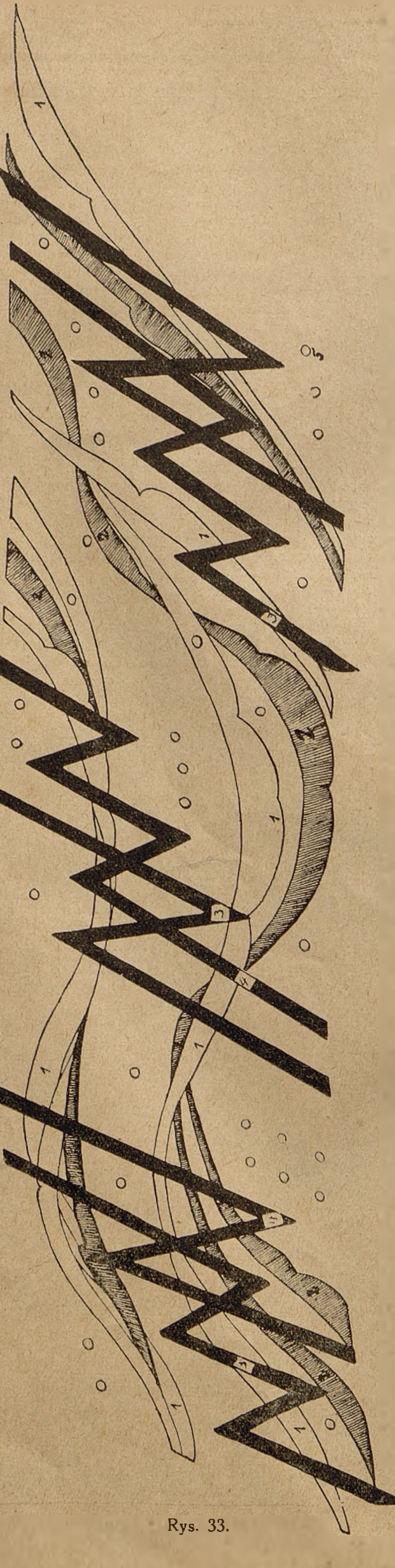
Osobny dział stanowi aplikacja ze skóry, jako niezwykle efektowne i z wiosną najmodniejsze przybranie kompletów sportowych. Ostatnie modele paryskie z trykotu wełnianego lub kashy, w kroju proste i skromne, odrobione są przeważnie skórą.

Wzory tutaj muszą być uproszczone, najlepiej geometryczne. Do kompletów beige kolory: miodowy z granatowym lub bronzowy (dwa pierwsze wzory na załączonym arkuszu). Ślicznie będzie wyglądać kostjum z białej lub kremowej wełny, odrobiony cały motywem z trójkątów w skórze czerwonej i granatowej. (Wzór trzeci i czwarty.) Chcąc uniknąć tak modnych a banalnych pasów skórzanych — możemy uszyć np. do sukni z jasnej kashy pas (szeroki na $6^1/_2$ cm) z tejże kashy, cały przybrany aplikacją z cienkiej zamszowej skórki w dwu kolorach, więc białej z czerwoną lub szaro-niebieską, jak to wskazuje wzór piąty i szósty. Ten sam motyw można powtórzyć na sukni — w całości, albo lżej — w połowie.

Również sukienki dziecinne ozdabiać można aplikacjami. Materjały będą tu skromniejsze i wzory odpowiednie do wieku.

Najstosowniejszemi motywami dla małych dzieci na sukieneczki i fartuszki będą owoce, grzyby i różne stylizowane zwierzęta, wykonane w płótnie o jaskrawych kolorach. Np. muchomory lub ptaszki (granatowo-białe skrzydła, białe podbrzusza, czerwone plamy na głowie) żywo będą odbijać od drapowego tła płóciennych fartuszków, ozdobionych czerwonemi lub granatowemi wypustkami.

Dla starszych dziewczynek można polecić na lżejsze sukienki takie wzory, jak załączone: czerwone wiśnie, szlak z żółtych czereśni (owoce blado-żółte i po-



Rys. 33.



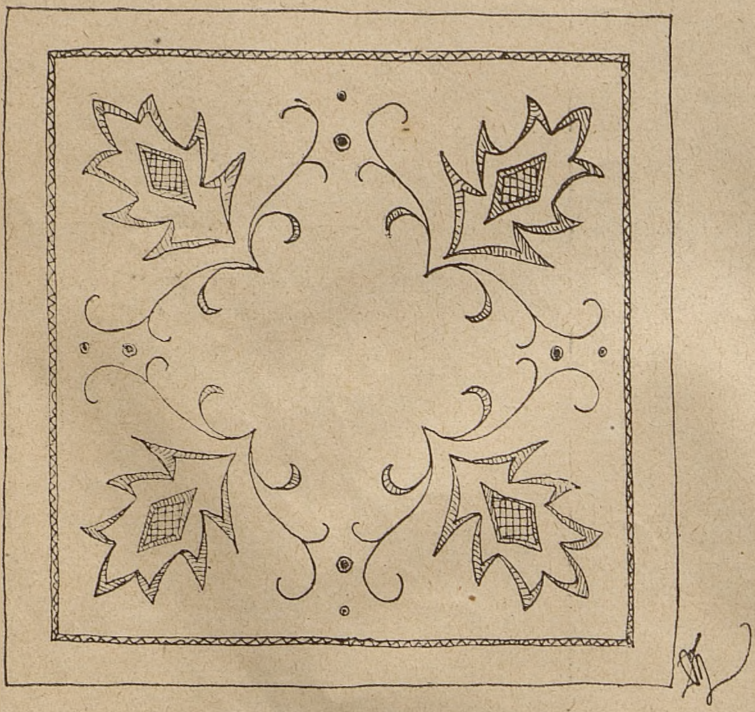
Rys. 34. (Opis na następnej stronie.)

marańczowe, liście w dwu tonach szaro-zielonego) lub małe bukieciki jabłuszek w odcieniach pastelowych.

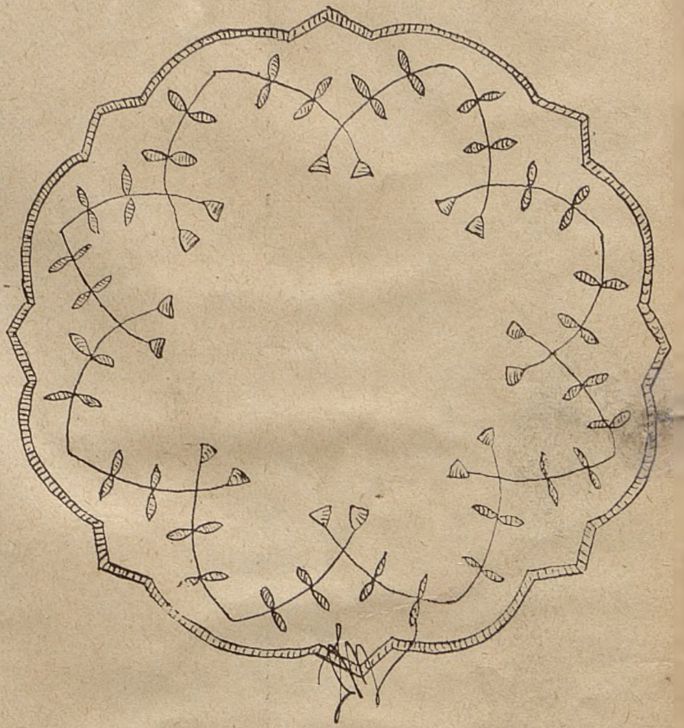
Jedno jeszcze pole zastosowania pięknych aplikacji: to luksusowa bielizna osobista. Wytworne szlafroczki i piękne „liseuses" ozdabiać można aplikacją z aksamitów lub inkrustować crêpe de Chine'ą np. o jeden ton ciemniejszą. — Elegancką „liseuse" z poziomkowego aksamitu proponuje nam Maison Lanvin, obramioną całą starozłotą lamą, przyszytą stebnami w dekoracyjne arabeski. — Na koszulki nocne i kombinacje najstosowniejsza będzie delikatna aplikacja na tiulu. *M. T. Younga.*

Rys. 34 (str. 227). **Kompozycje z motywów koronek**, projektowane i wykonane przez uczenice Szkoły Zawodowej Żeńskiej we Lwowie pod artystycznym kierunkiem prof. Stefana Kacprowskiego.

Kompozycje powyższe polegają na wycinaniu ze starych koronek oddzielnych motywów, bez przekomponowywania ich, a następnie układaniu w nowych formach kompozycyjnych. Na każdej tablicy (będzie ich 6, które pokolei zamieścimy w każdym co drugim numerze S. K.) jest uwidoczniony wycięty motyw, z którego zaprojektowano kompoz. Powyższe kompozycje są upiększeniem, na sposób aplikacji, do sukni.



Rys. 35. **Serwetka 14 cm × 14 cm.** Modną do herbaty serwetkę z cienkiego płótna zdobi haft biały, dziurki i wyciągana siateczka. Obrąbek zakończony mereżką. Wzór można też zastosować np. na poduszkę na szpilki na jedwabiu (wtedy bez mereżki) np. złotym, kolorami: kwiaty lila lub czerwone, siatka i kropki bronzowe, szypulki zielone. Projektowała Zofja Mściwujewska, Lwów.



Rys. 36. **Mała tabletka z tiulu** — brzeg dziergany, haft przeciągana nitka, robota bardzo łatwa. Proj. Zofja Mściwujewska, Lwów.



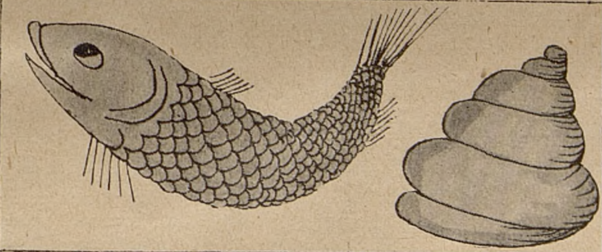
Rys. 37. **Poduszka z crêpe de Chine**; batik, albo haft. Proj. Irena Petzoldówna.

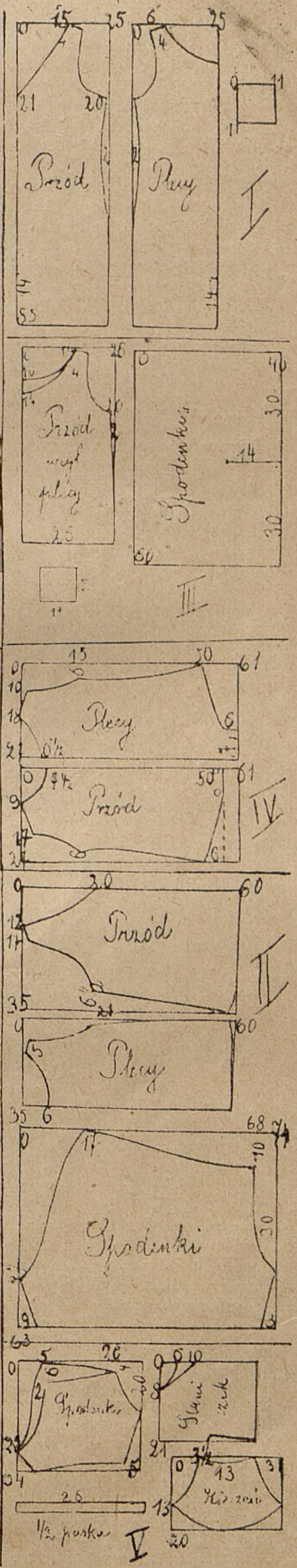


Rys. 38. **Serwetka**, wykonana wypukłym haftem kolorowym. — Państwowa Szkoła Koronkarska w Zakopanem. Projektował prof. Kłosowski.









KĄCIK PRAKTYCZNY

PRAKTYCZNE KOSTJUMY KĄPIELOWE

By ułatwić Czytelniczkom uszycie kąpielowego kostjumu, podajemy kilka modeli łatwych do wykonania — i przegląd krojów z dokładnemi wymiarami.

I. Kostjum dla młodej panienki z zielonej alpaki, ubrany piaskową. Płaszcz z różowego éponge z czarną aplikacją. Krój z 3 części, z których kwadrat należy wstawić w kroku.

II. Kostjum z surowego jedwabiu, przybrany aplikacją pomarańczową, czarną, albo zieloną. Spodenki przyszyć do bluzy, zmarszczonej dołem.

III. Bluza z trykotu w pasy, spodenki trykotowe. Do spodenek wstawić kwadrat w kroku.

IV. Ubranko kąpielowe, albo do zabawy, dla 3-letniego dziecka, ozdobione aplikacją.

V. Ubranko do zabawy dla 4-letniej dziewczynki.

VI. Ubranie kąpielowe dla 2-letniego dziecka.

VII. Kostjum kąpielowy dla 8-letniej dziewczynki, oraz płaszcz kąpielowy dla dziecka.

VIII. Piżama na plażę z ciemnego jedwabiu kombinowanego ze wzorzystym.

IX. Czepek kąpielowy ozdobiony aplikacją.

X. Czepek z dwóch materjałów.

Ryba i muszelka do ozdobienia kostjumów dziecięcych aplikacją, albo haftem.

Wszystkie kroje podane w połowie, prócz kwadratów do spodenek i kieszeni do nr. V. Bluzę nr. III i staniczek nr. V krajać w ten sposób, żeby wycięcie pleców było mniejsze od wycięcia przodu, pozatem rozmiary jednakowe. Wszystkie przody i plecy należy krajać bez szwa na środku.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA

NADESŁANE DO REDAKCJI

JAN BARREYRE: „Ślepy okręt". Nakładem Bibljoteki Dzieł Wyborowych, Lwów, Małeckiego 3. — Książka ta pełna jest wielkiej grozy i wielkiej poezji. Przedstawiając walkę instynktów ludzkich w obliczu obnażonej przyrody, unaocznia słabość człowieka, pozostawionego sam na sam z siłami natury.

LEO BELMONT: Konieczność, przypadek, czy wolna wola? Nakładem Bibljoteki Dzieł Wybor. Lwów, Małeckiego 3. — Dzieło to jest realizacją śmiałego pomysłu artystycznego, obleczonego w fascynującą szatę kryminalnego romansu o podłożu filozoficznem. Poruszając szereg zagadnień głębokich a żywotnych, książka daje czytelnikowi bogaty materjał myślowy obok niezmiernie interesującej fabuły.

ADAM SZELĄGOWSKI: „Rok 1789". Monarchja a Rewolucja. Nakładem Bibljoteki Dzieł Wyborowych, Lwów, Małeckiego 3. — Dla wykształcenia człowieka nowoczesnego znajomość dziejów Wielkiej Rewolucji Francuskiej jest tak samo konieczna, jak była nią znajomość historji starożytnej dla ludzi renesansu.

JULJUSZ ZEYER: Andrzej Czerniszew. Nakładem Bibljoteki Dzieł Wyborowych we Lwowie, Małeckiego 3. — Juljusz Zeyer należy do najsłynniejszych pisarzy czeskich. Dzieła jego tłumaczone były niemal na wszystkie języki europejskie. Powieść niniejsza, osnuta na tle historycznem, z epoki carowej Katarzyny II. jest jednym z najcenniejszych utworów malujących owe czasy.

Nr. 8. Gazety Literackiej ukazał się w znacznie zwiększonej objętości i poświęcony jest niezwykle aktualnemu zagadnieniu uniwersalizmu.

„Poradnik Językowy" za kwiecień br. mieści na czele artykuł redaktora p. t.: „O języku zawodowym". Następują „Zapytania i odpowiedzi" (26—45), roztrząsania przez J. Rzewnickiego i J. Niedzielską, dokończenie artykułu: „Dobre czytanie i dobre wygłaszanie", „O poprawności języka" kilka szczegółów, rzecz o książeczce księdza Szeffsa „O czystość i sprawność języka" i odezwa wydawnictwa.

DOBRA GOSPODYNI

TOWAROZNAWSTWO

Koronki rozróżniamy ręczne i maszynowe. Tło tworzy najczęściej tiul, który może być szyty, albo klockowany. Tiul składa się jakby z drobnych komórek sześciokątnych. Tylko wprawne oko rozróżni tiul roboty ręcznej od maszynowego w dobrym gatunku. Ostatni jest równiejszy i oczywiście — tańszy.

Rozróżniamy rozmaite gatunki tiulu maszynowego, od najcieńszego do najgrubszego. Istnieje tiul lniany, bawełniany i jedwabny. Lepsze gatunki wyrabia się z nitek kręconych podwójne, nawet poczwórnie. Ścianki komórek powinny tworzyć 2 nitki okręcone, a nie spojone tylko trzecią cienką.

Tak zwane „prawdziwe" koronki, które niegdyś były chlubą zamożnych domów, są dziś bardzo rzadkie z powodu wysokiej ceny i doskonałych imitacyj, które wypierają mozolną robotę ręczną. Najszerzej znane są koronki brukselskie, brabanckie, irlandzkie, weneckie, medjolańskie, Beticella, różne francuskie, a między niemi walansjenki, wszystkie prawie szyte. Częściej spotykamy koronki klockowe, które wyrabiają także u nas w mniejszych ilościach, a masowo w górach Czechosłowacji, Francji i Niemiec, gdzie powstał masowo przemysł domowy w okolicach, w których brak pracy lepiej płatnej.

Koronki siatkowe są dziś znowu bardzo wzięte, jak również szydełkowane i robione na drutach.

Wszystkie koronki ręcznej roboty wyrabiają z nici lnianych jako najtrwalszych, od pajęczych do dość grubych.

Dobre imitacje trudno odróżnić od koronek prawdziwych i potrzeba doświadczenia, by się nie omylić. Naogół ręczna robota jest plastyczniejsza i wykazuje tu i ówdzie nieznaczne nierówności, gdy tymczasem koronka maszynowa odznacza się jednostajnością wzoru i tła. Koronki maszynowe, lepszej jakości, odznaczają się czystem i starannem wykończeniem brzegów, oraz mocną nitką. Przytem mają mało apretury.

Klockowe i siatkowane koronki w dobrym gatunku mają piękny naturalny połysk, którego brak koronkom bawełnianym; prócz tego, te ostatnie bardzo się zbiegają w praniu i tracą wyrazistość wzoru.

Koronki gipjurowe tem lepsze, im gęściej oprzędzone są figury wzoru.

W handlu pojawiają się koronki białe, kremowe, ecru, czarne, pozatem — gdy moda dozwala — w różnych innych kolorach. Czarne koronki powinno się wybierać w najlepszym gatunku, gdyż liche zmieniają łatwo swą czerń na odcień rudy, zielony lub fiołkowy.

Firanki koronkowe wyrabiano niegdyś ręcznie; dziś spotykamy chyba tylko ręczne ozdoby na maszynowem tle. Od szeregu lat zmienia się moda także w tej dziedzinie, i po długoletniem panowaniu firanek koronkowych, tiulowych i siatkowych spotykamy w handlu różne odmienne rodzaje, jak etaminę, madras, markizetę, mul, opal i inne. Widujemy te materjały gładkie i wzorzyste, białe, kremowe i kolorowe. Możemy otrzymać firanki odmierzone i na miarę. Oszczędna gospodyni będzie się kierowała przy wyborze względami praktyczności. Firanki wzorzyste, odmierzone, opatrzą się prędko, jak doświadczyłyśmy tego z t. zw. „artystycznemi" o wzorzystych szlakach kolorowych. Natomiast firanki na miarę, gładkie lub w dyskretne wzory białe, albo kremowe, nie będą raziły, nawet przy zmianie mody. Praktyczne są — o ile nie pełzną — firanki kolorowe wzorzyste, gdyż odpada częste niszczące pranie, które można zastąpić trzepaniem. Nie nadają się jednak do okien bardzo słonecznych.

Dobry gatunek wszystkich firanek poznać można po „klarowności" tkania, sile i skręceniu nitki, oraz apreturze, która będzie tem silniejsza, im bardziej licha tkanina.

Mówiąc o haftach, uwzględnimy przedewszystkiem hafty bieliźniane. Tu również rozróżniamy ręczne i maszynowe. Dziś coraz mniej jest kobiet, które miałyby czas wykonywać hafty i tem samem znać się na nich. Dlatego tak łatwo mogą z nieświadomości wziąć haft maszynowy za ręczny. Głównemi znamionami haftu ręcznego są: jego dokładne i plastyczne wykonanie, jednakowe z obydwu stron oprzędzenie t. zw. atłasków i dziurek, czy te wykończenie nitek, które na haftach maszynowych wiedzie się bez końca od wzoru do wzoru.

Najcenniejsze ze wszystkich haftów bieliźnianych są prawdziwe szwajcarskie, ręczne i maszynowe. Kupując hafty, nie należy oszczędzać na jakości. Lepiej kupić węższy haft w dobrym gatunku, aniżeli szerszy a lichy. Zwłaszcza do bielizny osobistej nie warto przyszywać tanich haftów, gdyż w krótkim czasie podrą się i trzeba je wymienić, co podwaja pracę i wydatek. Tło haftu dobre i bez apretury, haft gęsto wykonany cienką kręconą nitką, brzegi ząbkowane gęsto dziergane i czysto wycięte dają rękojmię za dobroć gatunku.

Jeśli chodzi o trwałość ozdoby danego przedmiotu, nie zastąpi nic haftu ręcznego. Gdy się obliczy koszt haftu maszynowego i jego przy-

szycie, pokaże się, że skromny haft ręczny nie wyniesie drożej, a jest o wiele trwalszy; natomiast haft maszynowy zawsze prędzej się podrze, aniżeli rzecz nim ozdobiona.

W bieliźniarstwie tasiemki niciane mają częste zastosowanie. Rozróżniamy tasiemki płócienne, batystowe, keperowe i plecione. Prawdziwe lniane są najmocniejsze. Z bawełnianych, keperowe są bardzo trwałe. Najlepsze gatunki są gęsto tkane i bez apretury.

PORADY GOSPODARSKIE

Pranie bielizny. Każda gospodyni ma swój sposób prania, który wypróbowała jako dobry, ale mimo to chętnie zastosuje doświadczenia drugich, jeśli się jej wydają praktyczne.

Do prania należy używać miękkiej wody, np. deszczówki, albo wody rzecznej. Jeśli dysponujemy tylko wodą twardą, musimy ją odpowiednio przygotować do użytku. Dodatek sody nadaje się dla bielizny lnianej, bawełniana staje się przez nią żółta. Lepszy jest boraks, który zupełnie nie nadweręża tkaniny. Najlepiej rozpuścić 5 dkg boraksu w kilku litrach wody, przegotować, przecedzić przez płótno i wlać do 30 l wody. Wodę żelazistą należy, w dzień poprzedzający pranie, przegotować i odstawić, by się osiadło żelazo, które trzeba przed użyciem ostrożnie odlać.

Częste pranie jest bardzo korzystne, zwłaszcza w domach, gdzie służąca sama pierze. Brudna bielizna żółknieje przez długie leżenie, a gdy się jej dużo nazbiera, służąca nie może jej wyprać sama, nie przerywając zupełnie swych zwyczajnych zajęć.

Namoczenie bielizny przed praniem jest bardzo praktyczne, gdyż rozpuszcza brud i ułatwia pranie. Dla zaoszczędzenia mydła dobrze jest namoczyć bieliznę wprzód w miękkiej wodzie, po kilku godzinach wypłókać i włożyć do czystej wody, także miękkiej, z następującemi dodatkami: na 50 l wody letniej 1 kg mydła rozpuszczonego w kilku

litrach gorącej wody, 4 dkg rozczynu amonjakowego i 2 dkg terpentyny. Gdy bielizna jest niezbyt brudna, wystarczy wyprać ją po kilkugodzinnem namoczeniu, sparzyć, wypłókać w ciepłej, następnie zimnej wodzie i dokończyć jak zwykle. Plamy z krwi należy wyprać w zimnej wodzie, przed namoczeniem w wodzie z amonjakiem, który je utrwala.

Wiemy, że bieliznę należy prać na obie strony. Zwyczajnie piorą bieliznę przed wygotowaniem 3 razy, ostatni raz na lewą stronę. Po namoczeniu, opisanem powyżej, wystarczy prać 2 razy. Gotowanie bielizny jest wskazane ze względów higjenicznych. Do gotowania dodają niektórzy sody dla usunięcia mydła z tkanin, jak również dla zmiękczenia wody. Jak wspomniano wyżej, lepiej dodawać boraks. Bielizna będzie bardzo czysta i biała, jeśli do gotowania dodać, prócz boraksu, drobno pokrajanego mydła, albo proszku do prania. Wprawdzie więcej trzeba następnie płókać, ale po takiem gotowaniu zniknie dużo plam, które nie ustąpiły przy tarciu. Do ostatniego płókania należy dodać farbki, przyczem pamiętać, że tkaniny niejednakowo ją przyjmują. Rzadkie i starsze przyjmują więcej, nowe i gęste mniej. Zwyczaj dodawania farbki do krochmalu jest o tyle niepraktyczny, że krochmal wówczas nie może być bardzo gęsty i że łatwiej tworzą się smugi. Lepiej silniej nafarbkować przed krochmaleniem.

Niewszystkie praczki umieją równo nakrochmalić bieliznę. Najczęściej pewna ilość bielizny jest za sztywna, druga za wiotka. Polega to na tem, że praczki lubią rozpuścić krochmal i włożyć do niego po kilka kawałków naraz. Pierwsze będą sztywne, ale im więcej sztuk wykręconej bielizny, tem rzadszy będzie krochmal. Dlatego najlepiej krochmalić po jednym kawałku i dodawać przy każdym trochę krochmalu.

Suszenie bielizny na wolnem powietrzu jest najkorzystniejsze ze względu na wybielające działanie słońca i światła wogóle. Bielizna, przytwierdzona klamerkami, jakie można wszędzie nabyć, do sznurów, szeroko rozwieszona, schnie prędko i wnosi do domu zapach świeżego powietrza.

Coraz częściej stosują gospodynie gotowanie bielizny brudnej. Sposób ten, umiejętnie wykonany, jest bardzo dobry, szanuje bieliznę i oszczędza pracy. Tutaj jednak musi się bardzo uważać na dokładne odważenie dodatków, bo gdy ich za mało, zagotuje się brud, którego później nie można już wyprać. Przy tym sposobie prania liczy

się 25 dkg mydła na 10 l miękkiej wody, do której można dodać łyżkę czystej nafty. Dla oszczędności można tego samego ługu użyć kilka razy, gotując najpierw najczyściejsze kawałki. Przy każdem ponownem użyciu ług musi być zupełnie wystudzony. Po wygotowaniu najlepiej pozostawić bieliznę do następnego dnia w ługu, następnie przeprać z dodatkiem gorącej wody, wypłókać i skończyć jak zwykle. Przy tej sposobności zwracamy uwagę, że niesłuszne jest uprzedzenie niektórych gospodyń do proszków do prania. Za granicą są ogólnie używane, nie niszczą bielizny, gdy się ich używa podług przepisu i nie wybiera lichych gatunków. Przy użyciu należy uważać na dokładne rozpuszczenie proszku, gdyż grudki nierozpuszczone oczywiście nadwerężają włókno tak samo, jak grudki sody. Ponieważ z zasady w tym dziale nie polecamy poszczególnych firm, nie wymieniamy nazw proszków, radzimy zatem wypróbować, na małej ilości niezbyt cennej bielizny, któryś z będących w obiegu środków. Jeśli nie zmieniają w gotowaniu kolorowych wzorów chusteczek i t. p., można ich używać bez obawy, zwłaszcza że znajdują się między niemi wyroby wysokiej wartości.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Ze wsi. — Każdą kurację odtłuszczającą należy przeprowadzać pod nadzorem lekarza i wedle indywidualnych zapotrzebowań. Ponieważ Pani wspomina o dolegliwościach przy stosowaniu diety, tem więc usilniej odradzamy wszelkie próby na własną rękę. — Za miłe nam wyrazy uznania uprzejmie dziękujemy.

Czytelniczka z Rajgrodu. — Artykuł o liworyzowaniu był w numerze 6 „Świata Kobiecego" b. r. i zawierał wyczerpujące wskazówki. Wskazówki o batikowaniu znajdzie Pani w broszurce Marjana Wisza p. t. „Batik". Adres firmy: Łopuszański i Sauczey, Lwów, pl. Marjacki.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska.**

Wydawca: Bernard Połoniecki — Lwów. — Odpow. redaktor: A. W. Bednarski. — Adres Redakcji i Administracji: Lwów, ul. Chorążczyzna 27

Telefon administracji: 4—32. Z drukarni Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich pod zarządem A. Wierzbickiego Telefon redakcji: 48—34.

20807 Series 3 No 1

Opis robót ręcznych na ostatniej stronie okładki:

Dwa fryzy wykonane aplikacją. Garnitur na biurko. Wzory naturalnej wielkości do nabycia w administracji.




J. Petry Przybylska

